Nr. 196. Lwów — Sobota dnia 27 Sierpnia. Rok 1904.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 K. 20 h. w Niemczech . 3 „ . w innych Państwach . 4 „ . Za zmianę adresu dopłaca się 40 „. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer pojedynczy we Lwowie . 8 h. na prowincyi . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, opisy składek, dobroczynnych i t. d. przyjmuje się tylko jako ogłoszenia płatne po 1 k od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Agencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana 9.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym pismem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem . 6 h. korespondencye prywatne . 6 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: Przen. św. Kazim. | Micheasa
Jutro: św. Augustyna B. | Usp. Bogarodz.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o godz. 5 m. 17
Zachód „ „ 6 m. 42

Długość dnia godzin 13 minut 25
Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Manifest carski.

Wielu łask spodziewano się w Rosyi z powodu narodzin następcy tronu, więc manifest carski, ogłoszony we wtorek, nie zadowolił nikogo. W państwach konstytucyjnych, gdzie monarchowie są przeważnie wykonawcami ustaw, ułożonych wspólnie z przedstawicielami społeczeństwa, żaden ważny wypadek w rodzinie panującej nie może zmienić przyjętego w państwie kierunku politycznego. Tu nie ma miejsca na „łaski" w ścisłem tego słowa znaczeniu, oczywiście na takie łaski, któreby wprowadzały życie społeczeństwa i porządki publiczne na jakieś inne tory. Możliwe są tylko darowizny kar, odznaczenia dla wybitnych osób i fundacye. Nadewszystko te ostatnie nigdy nie są pomijane, bo są rzeczywiście pożyteczne dla ogółu i utrwalają pamięć radosnego wypadku. Wiele muzeów, szpitali, stacyj ratunkowych na wybrzeżach morskich, powstało w ten sposób. Narodziny następcy tronu nic innego nie mogą przynieść narodowi w państwie konstytucyjnem. Lecz inaczej jest w monarchiach despotycznych, gdzie każdy zgoła czyn panującego jest aktem łaski. Tam spełnienie gorąco odczutej potrzeby narodu, jego upragnionego życzenia jest nie obowiązkiem władzcy, ale tylko jego miłościwym darem. Dlatego właśnie jest w Rosyi zwyczaj, że wszystkie zmiany w ustroju wewnętrznym zawsze są ogłaszane manifestami w rocznice jakichś dynastycznych wypadków. Zakazano szlachcie rosyjskiej sprzedawać „dusze" chłopskie, czyli po prostu sprzedawać chłopów, manifestem ogłoszonym w dzień narodzin pierwszego syna Aleksandra II. Pańszczyznę zniesiono w rocznicę wstąpienia na tron tego cara. Sądy jawne, z obroną publiczną i z ławą przysięgłych, wprowadzono w dzień narodzin carewicza. Koronacyę Aleksandra III upamiętniono założeniem banków szlacheckiego i włościańskiego. W ten sposób z powodu przyzwyczajenia wszystkich w Rosyi do tego, że to, co stało się publiczną potrzebą i do czego nagli wzrastająca groźba, spada na naród w formie łaski w dzień jakiejś dynastycznej radości. Czem ona większa, czem dłużej oczekiwana, tem wedle powszechnego mniemania powinna być łaska obfitsza. Do takiego łączenia spraw publicznych z wypadkami w rodzinie carskiej samo czynniki urzędowe przyzwyczajały naród, gdyż dla tłumienia społecznej niecierpliwości stale rozpowszechniały, że to, co trzeba cierpliwie czekać, z powodu spodziewanych narodzin carewicza, czy wstąpienia na tron cara, czy z jakiej innej podobnej racyi będą wielkie łaski. Wreszcie Ogromnych też oczekiwano łask w Rosyi i doznano zawodu. Car okazał się mniej łaskawym, niż przypuszczali nawet pessymiści. Pamiętał tylko o przestępcach politycznych; politycznym, którzy więcej od pospolitych zasługują na przebaczenie, dał tylko to, co nie ma żadnej wartości, bo jednym pozwolił po odbyciu kary starać się o usunięcie jej obywatelskich następstw, innym, którzy wyemigrowali, pozwolił wrócić do kraju, ale nie dodał, że nie będą ciągani po sądach, jeszcze innym, dotąd niewykrytym, jeżeli popełnili nieznany jeszcze rządowi czyn karygodny wcześniej, niż 15 lat temu, to choćby ten czyn był kiedykolwiek wykryty, będzie im darowany. Wreszcie chłopom darował zaległości podatkowe, oczywiście całkiem nieściągalne, bo gdyby można było je wziąć, to jużby to uczyniono, ponieważ władze podatkowe postępują bardzo surowo. Jedną tylko łaską, mającą pewne społeczne znaczenie, jest zniesienie chłosty, na którą dotąd mógł skazywać chłopów niemal każdy urzędnik. Jednak chłostanie tłumów nahajkami kozackiemi niezawodnie zostanie.

Taki niełaskawy manifest musiał sprawić zawód. Niezadowolenie ogółu rosyjskiego jest więc podobno tak wielkie, że—jak donoszą z Petersburga korespondenci pism berlińskich —poczęto rozpowszechniać między ludnością przekonanie, że to jeszcze niewszytko, bo się przygotowuje coś naprawdę wielkiego, a ten manifest napisano na prędce, jakby na kolanie, gdyż wśród kłopotów wojennych nikt nie miał głowy do lepszego opracowania go, a zresztą i o tem trzeba pamiętać, że nie ma jeszcze ministra spraw wewnętrznych

Można temu wierzyć, że ów manifest napisano jakby na kolanie, bo w nim na samym końcu, jakby przyczepka, przypomniana sobie w ostatniej chwili, znajduje się ogólnikowe przyrzeczenie, że się będzie pamiętało o kalekach inwalidach wojennych. Wszakże w tym czasie jest to sprawa gorąco roztrząsana w całej Rosyi, sprawa bolesna. Komisye wojskowe, kierując się starymi przepisami, orzekły w wielu wypadkach, że żołnierze, którzy stracili na wojnie obie ręce, są istotnie niezdolni do zarabiania na swe życie, im też przyznały dożywotniej pensyi 30 rubli rocznie; tych zaś żołnierzy, którzy stracili obie nogi, komisye uznały za zdolnych do zarabiania na życie i nie przyznały im żadnej pensyi. Kiedyś, gdy życie było łatwiejsze, a ludzkie miłosierdzie większe, tacy kalecy może istotnie mogli znaleźć kąt spokojny przy rodzinie lub w gminie. Dziś czeka ich dola Łazarza. Więc jeżeli się dla nich nic rzeczywistego nie obmyśliło, a tylko się przyrzekło obmyśleć, nie wiadomo kiedy i w jakich rozmiarach, to widocznie manifest zrobiono na kolanie.

My, Polacy, także możemy coś wysnuć dla siebie z tego manifestu. Że się nie zmieni postępowanie z nami, wynikające z troskliwie obmyślonego planu politycznego, to każdy z nas wiedział. Dopóki system czynowniczej samowładzy trwa, muszą pozostać jego skutki. Ale oto manifest darował różne finansowe zaległości, a w Finlandyi — finansowe i administracyjne kary. Wszakże taką łaskę można było okazać i polskiej ludności, tego jednak nie uczyniono. Karą za r. 1863ci jest zakaz nabywania ziemi; karami obłożono wiele takich osób, które pod pozorem długoletniej dzierżawy nabyli ziemię: albo ją skonfiskowano, albo wzięto w sekwestr rządowy, a jej właścicielom pozwolono dowodzić przed urzędami, że nie chcieli naruszyć ustawy. Umorzyć te kary — toć to byłoby aktem łaski bez politycznego znaczenia, a jednak nie zrobiono tego.

Carski manifest rzeczywiście musiał wszystkim sprawić zawód.

Zatarg z powodu wojennej kontrabandy.

Rząd petersburski nie odpowiedział jeszcze na notę Anglii i Stanów Zjednoczonych w sprawie zbyt nieoględnego postępowania rosyjskich krążowników ze statkami handlowymi, ale petersburski korespondent *Daily Telegraphu* notuje, że hr. Lamsdorff już o tej sprawie rozmawiał tonem pojednawczym z ambasadorami londyńskim i waszyngtońskim. Dowiedział się ów korespondent, że Rosya, zgodnie z tradycyami morskiemi, wyrobionemi przez państwa zdawna żeglarskie, dzieli wszelkie towary, o których można mniemać, że są transportowane do państwa nieprzyjacielskiego, na kontrabandę niewątpliwą i na kontrabandę warunkową. Ponieważ spór się toczy jedynie o pojmowanie, czem jest ta druga kontrabanda, przeto dyplomacya rosyjska wyraża przekonanie, że można o tem dyskutować, ale byłoby niesprawiedliwością upatrywać w postępowaniu Rosyi prowokacyę, albo chęć szkodzenia handlowi. Kodeks międzynarodowy określa bardzo ściśle, co jest kontrabandą niewątpliwą. Do niej należy wszelka broń, amunicya, części składowe armat, płyty pancerne, przedmioty służące do wewnętrznych urządzeń w fortach i t. d. Towary, które mogą być warunkową kontrabandą, są w kodeksie międzynarodowym określone słowami: „Są to przedmioty używane pospolicie w życiu pokojowem, ale przy pewnych okolicznościach, w jakich toczy się wojna, pożyteczne także dla niej". Z tego określenia wynika, że naprzykład ryż, dowożony do Rosyi, gdzie wojska nim nie karmią, nie byłby kontrabandą, natomiast byłby nią, gdyby go wieziono do Japonii, ponieważ on jest głównym pokarmem jej żołnierzy. Tak samo filtry oczywiście nie należą do materyałów wojennych, a jednak zupełnie było usprawiedliwione zasądzenie statku „Knight Commander", który wiózł do Japonii mnóstwo filtrów, bo one oczywiście miały być wysłane do armii Kurokiego. Z wykazów handlowych wynika, że Japonia wcale nie używa filtrów do wody, zatem nie potrzebowała ich dla swej ludności cywilnej, natomiast postanowiła dać je swym żołnierzom, ponieważ niefiltrowana woda w Mandżuryi jest szkodliwa. Wprawdzie w wykazie przedmiotów, które będą uważane za kontrabandę, nie umieścił rząd rosyjski wielu takich towarów, które następnie traktował jako kontrabandę, ale przez to nie popełnił żadnego nadużycia. Kwestya, co ma być kontrabandą warunkową i kiedy takie towary powinny być umieszczone w spisie, ogłoszonym przez mocarstwo, zmuszone do prowadzenia wojny, nie została załatwiona przez żadną konferencyę międzynarodową, lubo nieraz zabiegano o to. Usiłowania konferencyi zwołanej do Wenecyi w r. 1896-ym dla ustalenia międzynarodowego prawa morskiego spełzły na niczem. Nie ma tedy żadnych obowiązujących norm. Z tego powodu rząd rosyjski poszedł za przykładem Anglii, która w swej instrukcyi z r. 1888-ego, wydanej pod tytułem „Admirality's Manual of Prize Law" głosi tak: „Stosownie do okoliczności aktualnych, kontrabandą mogą być: prowianty, trunki, przesyłki pieniężne, aparaty telegraficzne, urządzenia kolejowe, konie, furaż, drzewo budulcowe, odlewy żelazne, farby, płótno żaglowe, przyrządy ratunkowe i t. d.". Jak gdyby niedość było tego, że powiedziano tu „i t. d.", podano w innem miejscu angielskiej instrukcyi, że „Anglia zastrzega sobie prawo uzupełniania listy przedmiotów stanowiących kontrabandę warunkową w ciągu każdej wojny, jaką wypadnie jej toczyć". Otóż takie samo prawo rości sobie Rosya.

Kodeks międzynarodowy nie określa także dokładnie, co wolno zrobić ze statkiem, wiozącym kontrabandę warunkową. Utarł się tylko zwyczaj, że można cały statek z ładunkiem zaaresztować i postawić przed sądem, albo też bez sądu zakupić cały ładunek, nie może być jednak wykluczone prawo zatopienia statku z ładunkiem, jeżeli sytuacya wojenna nie pozwala postąpić inaczej. Znana jest przecież wieloletnia sprawa między Anglią a Francyą o zatopiony statek „Alabama". Już samo trwanie tego procesu przez lat dziesiątki dowodzi, że możliwe tu są różne zapatrywania. Rosya też nie wprowadza reguły, że trzeba takie statki topić, lecz, postępując jak inne państwa, zastrzega sobie prawo zatopienia statku, jeżeli względy militarne nie pozwolą postąpić inaczej, ale w takich razach obowiązuje się zapłacić to, co przyzna sąd morski.

Taka jest tymczasowa, ustna odpowiedź rosyjska na noty Anglii i Stanów Zjednoczonych. Rzecz tedy widoczna, że spór nie będzie miał politycznych następstw. Inaczej też być nie może, ponieważ nikt nie chce jeszcze bardziej powikłać stosunków.

Korespondencye.

Wiedeń 25 sierpnia.

(*Koniec upałów. Bilans tegorocznych opadów deszczowych. Pożary. Niedopałek cygara przyczyną śmierci. Nowa sensacya teatralna w Ischlu. Z życia śp. prof. Draschego.*)

(y.) Okres szalonych upałów i bezprzykładnej posuchy tegorocznej, jak się zdaje, uważać można za skończony. Od czasu ostatniej wielkiej ulewy, jaka nawiedziła Wiedeń w dniu urodzin Cesarza, temperatura znacznie się oziębiła i deszcz kilkakrotnie już padał. Bądź co bądź, o tem, aby tegoroczny ubytek opadu atmosferycznego mógł być jeszcze wyrównany, nie ma nawet mowy i minie może kilkadziesiąt lat, zanim trafi się znów rok taki suchy, bezdżdżysty, jak obecnie. Wedle raportów centralnej stacyi meteorologicznej wynosi w Wiedniu tegoroczne manko opadu deszczowego za miesiące maj, czerwiec i lipiec 111 milimetrów. Odliczywszy od tego opad deszczowy 34·3 milimetrów w dniu 18 sierpnia, pozostaje zawsze jeszcze za ten niespełna czteromiesięczny okres manko 76·7 milimetra, czyli wobec obszaru Wiednia 180 milionów metrów kwadratowych, ubytek 137 milionów hektolitrów wody deszczowej.

Rok obecny pamiętnym będzie także w dziejach Austryi Dolnej z powodu niebywale wielkiej liczby pożarów. Od kilku tygodni już prowadzą dzienniki tutejsze stałą rubrykę „Pożary", która codzień niemal bywa zapełniana. Że jednak szkody materyalne zrządzone przez te pożary w Austryi Dolnej nie mogą iść w porównanie ze stratami, jakie ponosi z tego powodu Galicya, to przypisać należy temu, iż prawie wszystkie domy w Austryi Dolnej są kryte materyałem ogniotrwałym i że straże ogniowe są tu nierównie lepiej zorganizowane niż w Galicyi. W wielu gminach wiejskich zorganizowano pogotowia pożarne czuwające dniem i nocą, a w niektórych wydano nawet zakaz palenia cygar na ulicy i przestrzegano go nadzwyczaj surowo. Warto w tem miejscu wspomnieć o nieszczęśliwym wypadku, jaki zdarzył się przed kilku dniami w Lincu, a który posłużyć może za naukę, że nietylko po wsiach, ale i w miastach powinna publiczność obchodzić się ostrożniej z paleniem cygar na ulicy. Oto bowiem zdarzyło się w Lincu, że jakiś jegomość rzucił tlejący niedopałek cygara na suknię przechodzącej obok pani, żony wachmistrza. Suknia owej pani zajęła się od cygara, czego jednak w pierwszej chwili nikt nie spostrzegł, a i ona biedaczka sama nie wiedziała o tem, że się pali. Narobiła krzyku dopiero wtedy, gdy poczuła ból na ciele. Poparzenia jej były niestety tak ciężkie, że młodziutka — bo zaledwie 21-letnia — kobieta, po kilkunastogodzinnych męczarniach umarła.

W teatrze w Ischlu odbyło się znów sensacyjne przedstawienie w obecności Cesarza, — tym razem nadzwyczajnie udałe, nie takie jak owo z niefortunnym występem panny Sandrock w partyi Małgorzaty w „Fauście". Sensacyą teraźniejszą był komiczny występ artystki Katarzyny Schratt, tudzież artysty Tewelego w niesłychanie wesołym żarcie scenicznym p. t. „Co żebracy śpiewają", napisanym umyślnie dla p. Schratt przez Juliusza Bauera. Pani Schratt występuje zazwyczaj w rolach poważnych, ostatnią jej większą kreacyą była n. p. postać Maryi Teresy w sztuce Schönthana, można więc sobie wyobrazić, co to za biesiada dla smakoszów teatralnych była widzieć tę artystkę w wesołej farsie, w której tylko humor wykonawców odgrywa główną rolę. Sam przez się bowiem nie ma ów żart sceniczny „Co żebracy śpiewają", żadnej wartości literackiej, jest bowiem stekiem samych kupletów okolicznościowych, śpiewanych na nutę rozmaitych popularnych w Wiedniu marszów i walców, jeżeli go jednak zagrają artyści z takim temperamentem i takim dowcipem jak pani Schratt i Tewele, to rozweselić on musi najbardziej zgorzkniałego hipochondryka.

Już samo pojawienie się na scenie pani Schratt i jej towarzysza Tewelego wywołało wybuch homerycznego śmiechu: pani Schratt ubrana jako żebraczka w pstrokatym kostyumie z samych łat i z harfą w ręce, a Tewele również w łachmanach z daszkiem zielonym nad oczyma, jaki noszą zazwyczaj niewidomi lub udający niewidomych żebracy. Gdy następnie ta niezrównana dwójka artystów zaczęła śpiewać kuplety to o literaturze modernistycznej, to o bosonogiej tancerce miss Duncan, to o propagandzie pokojowej, to o Mandżuryi, a dodawała im jeszcze pieprzyku własnymi dowcipami, rozbawiona publiczność wprost kładła się ze śmiechu. Od czasu do czasu zwracały się wszystkich oczy ku loży dworskiej, gdzie siedział Cesarz, a rozpromieniona twarz sędziwego Monarchy świadczyła najlepiej o tem, że i jemu udzielił się ogólny nastrój wesołości. Na odchodnem powiedział też Cesarz do dyrektora teatru: „Było to bardzo piękne przedstawienie. Dawno już nie ubawiłem się tak wyśmienicie". Ogromny dochód z tego przedstawienia przeznaczony został w całości dla ubogich Ischlu. Po skończonej farsie „Co śpiewają żebracy", zasypano wprost panią Schratt kwiatami. Między innemi otrzymała ona od gminy Ischlu wspaniały wieniec z napisem: „Szlachetnej dobrodziejce ubogich — wdzięczna gmina Ischlu".

W Vöslau, niedaleko Wiednia, umarł onegdaj w 78 roku życia głośny swego czasu lekarz, profesor dr. Drasche, jeden z ostatnich członków owej starej gwardyi nauczycielskiej, której wiedeński fakultet medyczny zawdzięczał swą światową sławę. Dr. Drasche zasłynął głównie z badań swych nad chorobami epidemicznemi, szczególnie nad cholerą. Badał on ją podczas pięciu epidemij na przeszło 4000 chorych. Opowiadają następujący epizod z jego życia, mający związek z cholerą: W roku 1872, gdy ustalony już został termin otwarcia wystawy światowej w Wiedniu na rok następny, udał się dr. Drasche do ówczesnego ministra spraw wewnętrznych br. Lassera, wręczył mu napisany przez się memoryał i rzekł: „Excellencyo, proszę odłożyć wystawę do r. 1874, w przyszłym roku bowiem będziemy mieli całkiem na pewno cholerę w Wiedniu. Znam jej pochód i z całą pewnością utrzymuję, że w lecie 1873 zawita ona do nas". Rząd nie zważał jednak na tę przestrogę i wystawę otwarto w dniu 1 maja 1873.

W kilkanaście dni później, w połowie maja, wpada pewnego poranku Drasche do domu jednego ze swych przyjaciół i woła już we drzwiach: „A co, nie mówiłem? Ona już tu jest?" Przyjaciel zrobił wielkie oczy i pyta: „Kto taki jest tutaj?" — „Kto? — odrzekł Drasche. — Cholera. W hotelu „Donau" skonstatowano pierwszy wypadek, sam go widziałem." Istotnie Wiedeń miał cholerę podczas wystawy, a to, że przepowiednia Draschego sprawdziła się, skłoniło rząd do utworzenia na wszechnicy wiedeńskiej katedry epidemiologii i powierzenia jej Draschemu.

Zakład Sercanek w Zbylitowskiej Górze.

II. Kościelna wieś Zbylitowska, właściwie Zbilutowa (od staropolskiego imienia Zbilut) Góra, położona jest nad samym Dunajcem, po za rzeczką Białą. Odwieczne to gniazdo rodziny szlacheckiej Zbylitowskich, herbu Strzemię. Dawno imię to zginęło, a nosili je ludzie rycerscy, co życia dla ojczyzny nie żałowali, siłacze, łańcuchy żelazne jak nitki targający, ale nadewszystko wsławione jest ono przez dwóch nieпoślednich poetów z początku panowania Zygmunta III: Andrzeja i Piotra Zbylitowskich. O pierwszym z nich ogłosił właśnie nową monografią, wydaną przez krakowską Akademię Umiejętności, p. Abicht. Nie wiem, czy był mu znany niewinny figiel, na jaki pozwolił sobie zasłużony mecenas nasz, hr. Tytus Działyński z Kórnika. Wydał on r. 1853 na nowo (rzadki przed edycyą Turowskiego) poemat Andrzeja Zbylitowskiego z r. 1597: „Żywot ślachcica we wsi" z dopiskiem swoim: „Żywot szlachcica polskiego we wsi zawsze był dla tegoż roskoszą, a dziś stał się i jedyną ucieczką, więc his utere mecum". Na tytule położył Działyński objaśnienie: „powtórne wydanie z polecenia ks. Zdzisława Czartoryskiego". Żyjący dotąd książę był wówczas nowonarodzonem niemowlęciem. Uszczęśliwiony z przyjścia na świat pierwszego wnuka, Jan z Kórnika zrobił go w kołysce bibliomanem i edytorem, może z ukrytem życzeniem, aby młody książę wstąpił kiedyś w jego ślady jako wspaniałomyślny wydawca. Nie tę jednakże właściwość odziedziczył książę Zdzisław Czartoryski po znakomitym swoim dziadzie, który był równie pospolitym miłośnikiem budownictwa, jak starych ksiąg i klasycznej łaciny.

---

10)

Jan Ogiński-Kontrymowicz.

WĘZEŁ GORDYJSKI

powieść.

(Ciąg dalszy).

Drzwi pocichu się otworzyły i przestąpiła próg Antosia. Jakże się zmieniła przez te trzy miesiące, w których my jej nie widzieli. Jeżeli wtenczas wyglądała mizernie, teraz cera jej stała się prawie przeźroczysta, marmurowa bladość rozpostarta była na twarzy, usta spieczone, w oczach tylko tlił się ogień gorączkowy.

— Czy wiesz aniołku, że stara przyjechała?

— O kim mówisz? — zapytała kobieta, dumnie podnosząc głowę.

— Mówię o twojej matce, która niespodzianie nam tu spadła na kark i zapewne zechce wyprawiać jakieś komedye.

Kobieta nic nie odpowiedziała, tylko zimny wzrok zatrzymała na twarzy mówiącego.

— Czyś się już z nią widziała?

— Nie, i nawet nie wiedziałam o jej przyjeździe, idę zaraz, żeby się z matką przywitać, o Boże! jakże ja stanę przed jej obliczem.

— Cóż to, czy i ty myślisz przybierać jakieś tragiczne role na siebie? — cóżeś to uczyniła tak strasznego, żebyś traciła odwagę stanąć przed matką i jasno, bez ogródek wypowiedzieć, że taka była twoja wola, że nie żałujesz tego czynu, że jesteś szczęśliwa.

— Szczęśliwa! — wyszeptała cicho Antosia — szczęśliwa! czyż ja jej to mogę powiedzieć?

— Dlaczegoż nie, jeżeli tak jest? — odrzekł, szyderczo się uśmiechając, mąż.

Ale raptem, zmieniając wyraz twarzy, starał się przybrać w maskę czułości, zbliżył się do żony, wziął ją za rękę i podprowadziwszy do kozetki, posadził ją na niej i sam ulokował się obok.

— Moja Antosiu, mój aniołku jedyny, ja widzę, że ty zanadto jesteś wrażliwa, gniewa cię każde moje zdanie, które nie zgadza się z twojemi poglądami, każde moje żywsze wyrażenie. To trudno, ja jestem mężczyzną, mam swoje kłopoty, zmartwienia, poglądy; czyż można wymagać, żebym zawsze był nadskakującym kawalerem? Wyrwie mi się czasami i szorstkie słowo, ale ty mnie znasz, ty wiesz, że ja cię zawsze kocham, że dla ciebie poświęciłem całe moje życie.

W miarę jak mąż mówił, wyraz twarzy Antosi rozjaśniał się, lekka barwa wykwitała na policzkach i oko przybrało wyraz niekłamanego zadowolenia.

— Więc ty mnie Rochu, naprawdę jeszcze kochasz? Więc miłość twoja nie ulotniła się, więc nie żałujesz swojego postępku?

— Dziecko ty moje, jakże możesz wątpić o mojem przywiązaniu? Czyż dlatego, że czasami jestem niezadowolony z życia, oburkliwy lub cierpki w obejściu, możesz przypuszczać, że cię mniej kocham niż pierwej!

— Kochaj mnie Rochu — mówiła smętnie Antosia, rzucając mu się na szyję — bo miłość twoja stanowi o mojem życiu. Ja dla ciebie poświęciłam wszystko i nie żałuję tego.

Na te słowa mężczyzna oburzył się.

— Tyś dla mnie poświęciła wszysko! I cóż to takiego poświęciłaś moja pani? Jeżeli zrobimy obrachunek ścisły poświęceń, to wielka przewaga okaże się po mojej stronie.

— Daruj mi Rochu, ja nie chciałam ciebie obrazić.

— Nie chciałaś obrazić! wierzę... ale poruszyłaś kwestyę, którą teraz musimy wysondować aż do dna. Czy nie wiesz, że nazwisko Hilderyngów jest jednem z najstarożytniejszych, najarystokratyczniejszych nazwisk szlachty czeskiej? Wiedz o tem, że herb nasz nie ustępuje żadnej z potężnych famlii kraju, ba! nawet Europy. Ja wprawdzie byłem biedny, a nie chcąc nic przyjąć od familii, pracą zdobywałem środki do życia, ale wiedz o tem, że mnie czeka w sukcesyi ogromny majorat w Czechach, i że niedługo nadejdzie ta chwila... tak, niedługo! Stary hrabia Hilderyng, mój wój przeniesie się do wieczności, bo to już człowiek prawie zgrzybiały, a ja, objąwszy po nim prawa, pisać się po nim będę: „Hrabia Roch Hilderyng, pan na Dubicach", a ty będziesz panią hrabiną. Ja, gdybym był chciał się żenić dla zysków, to taka księżniczka Lichtenstein byłaby z ochotą podała mi rękę, ale ja wszystko dla ciebie poświęciłem i nie żałuję tego wcale, a ty mówisz o poświęceniach!

— Dobry mój przyjacielu! — wyszeptała żona ze łzą w oku — ja ci nie robię wymówek, ja tylko pragnę, żebyś mnie kochał.

— Zawsze jedno. Czyż wątpisz o tem? Ale dajmy temu na teraz pokój... trzeba ci się przygotować do spotkania z matką. Mówiłem ci o tem wszystkiem, żebyś wiedziała, co jej odpowiedzieć, jeżeli ci tryśnie zarzutem w oczy, żem zbałamucił cię dla twojego majątku... ha, ha, ha! Poddębie jakieś, czyż się może równać z majoratem Dubicami? Idź teraz do niej, a potem przyjdziesz i opowiesz mi waszą rozmowę; pamiętaj tylko być energiczną, stanowczą, od tego zależy cała twoja przyszłość i szczęście nasze.

Kobieta powstała, mąż pocałował ją i zaczął znowu przed lustrem układać swoje piękne włosy.

Tymczasem Małgosia, wszedłszy do pokoju swojej pani, zastała ją już przebudzoną. Była to kobieta mająca lat 42, ale piękność, którą odznaczała się w młodości, zachowała zupełną, okrąglejsze tylko kształty piersi i bioder rozwijały się zbytecznie — obfite, czarne włosy i białe zęby (nie gwarantujemy jednak, czy nie sztuczne), przy pulchnej, białej cerze, przedstawiały typ kobiety schodzącej z pola, ale jeszcze niepoddającej się.

— Czy córka moja wie już o moim przyjeździe, czy już wstała?

— Zdaje się, że pani Hilderyng już wstała, bo okna jej pokoju pootwierane.

— Coś ty rzekła? — zapytała zdziwiona, siadając na pościeli — nie zrozumiałam.

— Mówiłam, że pani Hilderyng zapewne już wstała.

— Pani Hilderyng!.. O kim-że ty mówisz dziewczyno? Czyż matka albo żona tego ladaco tu przyjechała, czy on jeszcze przebywa w Poddębiu?

— Mówię o żonie pana Hilderynga, o którą się pani pytała.

— Ja! pytałam! — dziewczyno, tyś zwaryowała zapewne, od kwadransa z tobą gadam i nie mogę się dogadać rozumnego słowa.

Dziewczyna złośliwie się uśmiechnęła i miała właśnie odpowiedzieć, gdy drzwi się otworzyły, weszła do pokoju córka i z wyciągniętemi rękami zbliżyła się do matki.

Matka zimno pocałowała ją w czoło i nie zwracając wcale uwagi, na mizerny wygląd swojego jedynego dziecięcia, zapytała się:

— Co mi ta dziewczyna gada, opowiada mi ona, że jakaś pani Hilderyng bawi w naszym domu, czy to prawda?

— Prawda matko!

— Jak ty mogłaś przyjmować ją pod swój dach, nie zasięgnąwszy pierwej mojej rady? Jest to zapewne jaka intrygantka, i Bóg wie czy prawdziwa jego żona.

— Najprawdziwsza, jaka tylko być może.

— A to wyborne! czy byłaś na jej ślubie, że tak stanowczo twierdzisz?

— Byłam na tym ślubie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dzisiaj próżnoby kto po Zbylitowskich szukał śladów w ich dawnej siedzibie. Nie pozostało po nich nic. Jedyną dawną pamiątką, ale po innej przeszłości, jest kamienna w części plebania, przerobiona z dawnej bożnicy Aryanów, którzy na Podgórzu całem, a osobliwie na Sądeczyźnie gęsto siedzieli, dopóki ich banicya nie dotknęła. Naszym badaniom zawdzięczamy wiadomość, że znany poeta, Wacław Potocki, ziemianin podgórski, był również Aryaninem, który przeszedł na katolicyzm, aby uniknąć banicyi. Nurkami zwali nasi przodkowie żartobliwie Aryanów dlatego, że dorosłych chrzcili pod gołem niebem, jak nowochrzceńcy. Dunajec, który tę krainę przerzyna, był im chrzcielnicą, dobrze głębszą niż w Jordanie, jak świadczy dawny poemat: „Peregrynacya dziadowska“, szydzący z Aryanów:

Mająć oni i tej i owej wiary po kawalcu
Aleć to najstraszniejsza, że się chrzcą w Dunajcu.
Tak się chrzcą, kto przyjmuje wiarę u nich nową,
Wrazi go pod Dunajec pospołu i z głową,
To go trochę potrzyma, aż modlitwę zmowi
A potem go za włosy porwie ku wierzchowi
A co gorsza, kiedy się przytrafi chrzcić w zimie,
I pół roku poleży, nim go febra minie.

Dziś ten Dunajec, tak miły niegdyś nowochrzceńcom, i zaniedbany grobowiec Nerczyarchy Fausta Socyna w Lucławicach nad tąż rzeką, oto jedyne niemal w tych stronach wspomnienie, przypominające potężną niegdyś sektę. Liczyły się do niej może od dawna znów katolickie rody: Ujejskich, Wielogłowskich, Stadnickich, Krzeszów, przodków znanego malarza, Otwinowskich i prócz wielu innych, także Taszyckich, których, wraz z ich spółwyznawcami, wprowadziła na scenę młoda autorka dramatyczna, pani Ludwika z Dobrzyńskich Rybicka, Kaliszanka. Achacy Taszycki, pan dóbr zakliczyńskich, głowa i opiekun Aryanów, nawrócony i ochrzczony był przez OO. Reformatów, syn zaś jego, mąż rycerski, który nie zaraz poszedł w ślady ojca, oblókł później gruby habit synów św. Franciszka i w nim dotrwał do śmierci.

Gniazdo Zbylitowskich przeszło z biegiem czasu w ręce hr. Moszczeńskich, teraz zaś należy do p. Stanisława Żaby, urodzonego w Anglii, na emigracyi, ożenionego z p. Moszczeńską, córką radzcy Tow. kredytowego Zm. we Lwowie. Ani on, ani nikt inny przewidywać nie mógł, że ta włość, wsławiona nazwiskiem dwóch polskich poetów i dawne gniazdo Aryanów, stanie się siedzibą katolickiego zakładu naukowego dla polskich panien, który wszystkie dogodności miasta z wiejską połączy ciszą.

Szkoła w mieście, publiczna czy prywatna, jest zbyt często synonimem ciasnoty, zaduchu, niehygieniczności, gwaru, turkotu i wszelkich roztargnień, które młodzież od nauki odwodzą, a w najlepiej urządzonym internacie w zupełności usunięte być nie mogą. Jest to „malum necessarium“, na które sposobu niema. Kształcenie dziecka na wsi, bez uszczerbku nauk i bez utraty tak niezbędnej przy nich emulacyi, to ideał pedagoga, który urzeczywistnić dla człowieka prywatnego jest prawie niepodobieństwem. Oczywiście nie mam tu na myśli szkół ludowych, ale wyższe, do wyższych sposobiące stanów. Dla młodzieży męzkiej pierwsi i dotąd jedyni założyli gimnazyum z prawami rządowych instytutów OO. Jezuici we wsi Bąkowicach nad Strwiążem, zwykle od najbliższego miasteczka zwane Chyrowem. Kilkanaście lat trwania tego zakładu nie zawiodło położonych w nim nadziei. Niema drugiego podobnego, któryby mógł urządzeniami swemi równać się z Chyrowem. Zdrowie ciała i duszy, swoboda i dzielność młodzieży, stosunek jej przyjacielski do nauczycieli, to są owoce warunków, których zakład miejski dać nie może. Znane szkoły gospodarstwa domowego dla dorosłych panien hr. Zamoyskiej i hr. Cecylii Zyberkówny, mieszczą się również na wsi w Zakopanem i w Chyliczkach.

Ale pożyteczniejszą jeszcze i właściwszą będzie nauka nie w mieście dla dziewcząt młodych, przechodzących w czasie szkolnym krytyczną epokę rozwoju, która wymaga baczniejszego dozoru i opieki, a nadewszystko ruchu i świeżego powietrza. Światem też kobiety ze sfery ziemiańskiej, w którym kiedyś ma żyć i działać, jest wieś. Tam ona od dziecka wzrosła, tam jej radość i najmilsza zabawa, tam najdroższe wspomnienia. Kształcić swe córuchny na wsi, nie mieć potrzeby zamykania ich w dusznem mieście, oto marzenie, niemożliwe na pozór dla wielu matek. Były już próby w zeszłym wieku wiejskich pensyonatów, ale prywatnych i na małą urządzonych skalę. Poznałem kiedyś w podróży p. Kajetana v. Valdow, Polaka i katolika, członka tej samej rodziny, co teraźniejszy naczelny prezes Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Otóż matka jego, Warszawianka, utrzymywała przez długie lata taki wiejski pensyonat pod Szarogrodem, na Podolu rosyjskiem, który we wdzięcznej pamięci licznych wychowanic się zapisał. Zasługi tej czcigodnej matrony, gorliwej Polki, która i własne potomstwo umiała zacnie dla kraju wychować, uczcił kiedyś zaprzyjaźniony blisko z tą rodziną ś. p. Adam Pług (Pietkiewicz). Drugi podobny wiejski pensyonat przez z górą lat 30 prowadziła p. Kowalnicka w Siółkcy, w gubernii mińskiej. Może i więcej takich było, mnie nieznanych.

Coś podobnego, ale na wielkie rozmiary przedsięwzięły i wykonały zakonnice Najśw. Serca Jezusowego, czyli Sercanki, znane dobrze w Poznaniu, gdzie naprzód przy Młyńskiej ulicy, a później na Wildzie przez lat kilkanaście wychowywały córki ziemian wielkopolskich, dopóki im rząd pruski r. 1873 granic państwa opuścić nie kazał. Nowo otworzony ich dom w czeskiej Pradze miał brakowi zaradzić, ale w oddaleniu od kraju dzieci polskie, pomieszane z obcemi, nie mogły mieć tego wszystkiego, co dla nich było potrzebne. Pozostał tylko jedyny polski dom tego Zgromadzenia we Lwowie, ale zbyt odległy, więc drugi dom, w zachodniej stronie Galicyi okazał się niezbędnym. I ten właśnie, chcąc zarazem wychowanio dać korzyści pobytu na wsi, założono po długiem poszukiwaniu odpowiedniego miejsca w Zbylitowskiej Górze na obszarze, nabytym od p. Żaby.

Nie będę wchodził w roztrząsanie pytania, jakie przewodnictwo lepsze dla młodzieży żeńskiej: świeckich mistrzyń, czy zakonnych? Najlepiej niezawodnie, jeżeli matka sama przy swym boku może córki wychować, bo oka i miłości matki nikt nie zastąpi. Przecież dla rodziców, na wsi mieszkających, rzadko to jest możliwem, zwłaszcza gdy rodzina liczniejsza, a kształcenie domowe z wielkiemi połączone jest trudnościami i kosztami, nad czem nie ma potrzeby się rozwodzić. Co do wyboru między pensyonatami zakonnemi, a świeckiemi, których znamy tyle zacnych i pełnych zasługi, wiele matek daje pierwszeństwo „caeteris paribus“ zakonnym. Dlaczego, nie tu miejsce się rozwodzić. Najlepszym dowodem są owe całe ładunki wagonowe panien polskich z Księstwa i z Królestwa, odwożone do klasztorów niemieckich, dlatego, że dotąd rząd krajowy na żadne osiedlenie się zakonów katolickich w Wielkopolsce, któreby wyższych nauk udzielały, pozwolenia nie dał, lubo one w ościennych prowincyach swobodnie istnieć i działać mogą.

W całej naszej przeszłości nie znały polskie dziewczęta innego wychowania, jak domowe lub klasztorne. Oprócz może Karmelitanek bosych, oddanych wyłącznie bogomyślności, po wszystkich naszych klasztorach wychowywały się córki szlacheckie. Najwięcej zasługi położyły na tem polu PP. Benedyktynki reformy chełmińskiej, których działalność na nowe pchnęła tory ich reformatorka, wysoko przez Skargę ceniona, Magdalena Mortęska, podkomorzanka malborska, możnego pomorskiego rodu córka, jedna z najznakomitszych polskich kobiet, choć jej nazwiska nie znają nasi pisarze, umiejący szeroko opowiadać o Esterce, Giżance i pani Cosel. Z Chełmna rozkrzewiły się Benedyktynki w Nieświeżu, Sandomierzu, Poznaniu, Lwowie i w innych miejscach, dając polskim dzieciom prawdziwie polskie, nie zakażone cudzoziemczyzną, wychowanie. Dwie z kolei królowe francuskie: mądra i energiczna Ludwika Marya (a nie Marya Ludwika, jak ją niemal wszyscy błędnie piszą) i Marya Kazimiera, obdarzyły nas dwoma obcymi zakonami, PP. Wizytkami i PP. Sakramentkami, które długo francuskimi pozostały, a pierwsze w Polsce skutecznie francuszczyznę szczepić poczęły, zanim ona za czasów stanisławowskich wyższe stany w zupełności ogarnęła. Po raz pierwszy Polki po francusku modlić się zaczęły, co niestety i dziś tu i ówdzie istnieje.

Pierwszy ślad cudzoziemszczyzny w kościele przechował się w postaci książki: „Trésor de la devotion“, „Skarb serdeczny duszy pragnącej miłować Boga“, wydanej w r. 1701 przez Wizytki warszawskie w ten sposób, że zawsze lewa stronnica drukowana jest po francusku, a po prawej stronie to samo po polsku. Rzadka ta dzisiaj książka dedykowana jest przez zakonnice Krystynie Branickiej, wojewodziance podlaskiej, prawnuczce Stefana Czarnieckiego, wydanej później za Sapiehę; podskarbiego nadwornego litewskiego. Rodzona jej ciotka, również Krystyna Branicka, była w zakonie Wizytek, można więc przypuszczać, że wojewodzianka pod jej okiem się wychowywała. Zabawnie wygląda tytułowanie w dedykacyi młodej panienki po francusku: „Votre Excellence“. Niechże kto powie, że Francuzi nie są grzeczni.

Co i o czem piszą.

Wobec tego, że w ostatnich czasach niektóre pisma dość lekceważąco wyrażały się o pracy lekarzy i o przykrościach, na jakie oni bywają narażeni, warto przytoczyć tu wypadek, wyjątkowy może co do szczegółów, ale wcale nie wyjątkowy co do przykrości doznanej przez lekarza. Wypadek ten przytrafił się dr. Adolfowi Durstowi, znanemu lekarzowi lwowskiemu. Opowiada on w *Głosie lekarzy*, że pewnej nocy wezwano go do chorego, potrzebującego nagłej pomocy lekarskiej. Dr. Durst już spał, więc go zbudzono i zaprowadzono do jakiegoś domu na ulicy Gródeckiej.

Przez duży dziedziniec — pisze dr. Durst dalej — dostaliśmy się do oficyn. Tam schody, podobne raczej do drabiny o stopniach spróchniałych, kiwających się pod nogami, prowadziły na pierwsze piętro, gdzie miało być mieszkanie chorego. Światła nie było, spotrzebowałem prawie całe pudełko zapałek, które miałem przy sobie.

Weszliśmy nareszcie do niskiej, lecz bardzo obszernej komnaty, w której, jak w jakimś szpitalu, całe urządzenie składało się z kilkunastu łóżek, stolika i kilku krzeseł drewnianych.

Podczas mojego wejścia łóżka te nie były zajęte. Mieszkańcy bowiem, których było kilkunastu płci obojga, zajmowali się staczaniem formalnej bitwy, obrzucając się nawzajem wśród obelg i wymyślań grubemi polanami drzewa opałowego, tak, że co chwila padła jakaś ofiara, zbroczona krwią, wydając z siebie przeraźliwe jęki, krzyki i przekleństwa.

Widząc, że moja obecność nie wstrzymuje wcale zapału tych ludzi, chciałem się cofnąć. Ale przewodnik, dostrzegłszy mój ruch, podskoczył ku wejściu i zamknął drzwi na klucz i schował go do kieszeni, marszcząc przy tem brwi i odzywając się lakonicznie:

— Pan tu zostaniesz.

Pięciu czy sześciu drągali, uzbrojonych polanami drzewa, potakiwało memu przewodnikowi, który był ich bratem najstarszym i głównym lokatorem mieszkania.

Położenie moje było nie do pozazdroszczenia. Uwięziony formalnie w cudzem mieszkaniu, wśród nocy, znalazłem się nadto w towarzystwie ludzi prawie wściekłych, z najniższej może warstwy społeczeństwa, a byłem sam, bezbronny i wcale nieprzygotowany na taką przygodę. Wybrałem sobie kąt, ile możności bezpieczny — jakkolwiek i tu niejeden z pocisków przelatywał tuż około mojej głowy — i przypatrywałem się z rezygnacyą tej namiętnej walce, w której kobiety, istne megery co do kształtu i wzrostu, niczem nie ustępowały mężczyznom.

Nareszcie wojna ustała. Pole bitwy opróżniło się powoli, a ranni udali się do łóżek, wrzeszcząc w niebogłosy i przeklinając się nadal nawzajem, przyczem dobierali sobie wyrazów — niekoniecznie salonowych.

Byłem w najwyższym stopniu zirytowany. Nie działał na mnie tak dalece strach, bo nie należę do ludzi bojaźliwych, nie działała też na mnie bezwzględność tych ludzi, których opanował dziki zapał wojenny, ale wstrząsnęła mną bezczelność klienta, że śmiał człowieka wolnego, lekarza, który mu nic złego nie zrobił, zamknąć pod kluczem w tej swojej norze i zmuszać go, aby wbrew własnej woli stał się świadkiem zbrodni i słuchaczem ohydnych wywnętrzeń tego motłochu z pod ciemnej gwiazdy.

W takiem to usposobieniu przystąpiłem do opatrywania ran, które stosunkowo okazały się jeszcze dość lekkie.

Po spełnieniu tej czynności, prosiłem grzecznie, aby mnie już raz uwolniono.

— Nie, panie — odrzekł bezczelny klient — teraz siadaj pan tu do stolika i napisz nam *visum repertum*.

Wyrzekł to głosem rozkazującym. Kipiało we mnie.

— Tak, tak, niech napisze *visum repertum* — odezwało się kilka głosów — sprawa musi pójść do sądu.

Przyniesiono kałamarz, pióro i arkusz papieru.

W tej chwili opanowało mnie dziwne usposobienie, dla którego Niemiec posiada wyraz osobny, choć nie całkiem trafny, nazywając je „galgenhumorem“. Jest to w istocie rodzaj humoru wśród cierpień moralnych, humoru wśród gniewu. Humor ten pozwala zapominać o wszystkiem, byle się tylko mścić, choćby w sposób podstępny, któregoby się człowiek moralny wśród innych okoliczności może nigdy nie chwycił.

Poczekaj, łotrze, pomyślałem, będziesz ty się miał z pyszna kiedy się znów pojawisz w mojem mieszkaniu! Lecz jak go do tego zniewolić?

Zasiadłem do stolika z miną poważną, urzędową i napisałem pismem, jak najmniej czytelnem, dokładny opis — kościoła św. Anny. Gdy cała stronica była już wypełnioną, przytoczyłem datę i położyłem podpis tak zamaszyście, iż żaden rzeczoznawca sztuki pisania nie byłby w stanie przeczytać choćby jednej litery. My lekarze umiemy tak pisać!

Dręczyciel mój nie zajrzał nawet do „aktu“, chowając skwapliwie cenny ten dokument, poczem, uśmiechając się zadowolony, raczył otworzyć drzwi i wsunąć mi nawet protekcyonalnie 1 złr. za dwugodzinną wizytę nocną.

Znalazłem się nareszcie szczęśliwie na bruku ulicy. Odetchnąłem głęboko — byłem wolny!

. . . .

Jak przewidziałem w owej krytycznej chwili, tak się też stało.

Zaraz na drugi dzień były mój klient zjawił się w mojem pomieszkaniu, czerwony jak burak z gniewu, zadyszany ze złości. Wywiązał się między nami następujący dyalog:

— Panie, co pan tu napisał? Byłem u adwokata, nie mógł przeczytać — mówi, że to niezdatne, że to opis jakiegoś kościoła, a nie *visum repertum* — proszę napisać, jak się należy.

— Proszę usiąść. Przeczytam naprzód sam.

Wziąłem się pozornie do czytania, dotykając niepostrzeżenie dwa razy guzik dzwonka elektrycznego, znajdujący się u boku mego biurka. Wnet pojawił się lokaj, istny atleta, człowiek jak dąb wysoki i silny, w towarzystwie stróża, wysłużonego kaprala armii wspólnej austro-węgierskiej. Ustawili się przy drzwiach wyprostowani, czekając rozkazu.

Na widok takiej pomocy brachialnej mój klient ochłonął i przymuszał się do nabierania grzecznego wyrazu twarzy, choć kipiało w nim jak w kotle. Odezwałem się teraz:

— Mój panie, cóż pan właściwie chce? Jest to mojem zdaniem dość ładny opis kościoła św. Anny.

Klient zerwał się na równe nogi.

— Ale czyż ja prosił o opis jakiegoś tam kościoła? Ja prosiłem o *visum repertum*.

— To też widzi pan — odrzekłem z uśmiechem — gdybyś pan istotnie o to prosił, możebym był zadość uczynił pańskiej prośbie. Ale pan wcale nie prosił. Pozbawiwszy mnie naprzód wolności osobistej, podobało się panu posługiwać się mną, jakby swoim niewolnikiem, pan mi rozkazywał — ja zaś nie poczuwałem się do obowiązku słuchania pańskich rozkazów, to też napisałem, co mi się podobało.

To mówiąc, podarłem „akt“ na drobne kawałki.

— Ależ ja za to zapłaciłem — wybąknął — ja tylko na to pana konsyliarza wezwałem! Opatrunki nie były mi wcale potrzebne, posiadam maść sznajderowską.

— T-a-k? to co innego, o tem trzeba było mówić zaraz przy wezwaniu, bo, widzi pan, dla napisania jakiegoś tam świadectwa, lekarz nie jest obowiązany wstawać z łóżka i udać się do jakiejś nory o pierwszej godzinie w nocy. Zaś co do zapłaty musimy się jeszcze porachować. Pan zapłacił guldena za nocną fatygę lekarza do pańskiego pomieszkania; tyle by mi się należało co najmniej, gdybym nawet nie uważał za potrzebne podjąć się jakiejś czynności. Za opatrywanie rannych nie zostałem jeszcze wcale wynagrodzonym. Za pozbawienie mnie zaś mojej wolności osobistej należy się znów panu wedle § 93 ustawy karnej co najmniej — sześć miesięcy ciężkiego więzienia, obostrzonego postem. Pański adwokat to panu jeszcze lepiej wyjaśni. A teraz — za drzwi mój panie!

Zbladł, popatrzył na moich ludzi, jak skazaniec na swego kata, ukłonił się nisko i wyszedł.

Nie widziałem go więcej nigdy.

Tę satysfakcyę winien byłem już nietylko sobie, ale i godności stanu lekarskiego.

* * *

W *Ogrodniku polskim* pani M. Karczewska zamieszcza artykuł o modrzewiu, ze wszechmiar zasługujący na to, aby zyskał jak najszerszy posłuch.

„Kilka wieków upłynęło — pisze ona — odkąd w kraju naszym znikać zaczął modrzew, zwany przez lud „mądre drzewo“. Dawniej, gdy w Polsce było jeszcze mało ogrodów, ale za to były bory gęste, wyrastało ono ponad sosny, ponad jodły, graby, buki, ponad odwieczne dęby nawet wychylała się z gęstwiny modra kiść jego.

Wśród gęstych zarośli, na gruntach niższych, wilgotnych, modrzew strzelał smukłą kolumną w niebiosa, a na wyższych polanach, gdzie karliki krzewów nie zmuszały go do bujania, gdzie naokół kąpał się w słońcu i świetle, tam rozrastał się silnie i wytwornie. Kaskadą lały się modrych pęków gałęzie; od szczytu do ziemi okrywały drzewo bogatą szatą.

„Mądre drzewo“, mówił kmiotek, widząc, jak to modrzew radził sobie w gąszczach, jak sobie radził nietylko w ziemiach bogatych i żyźnych, ale i w uboższych piaszczystych. „Mądre drzewo“, mówił, gdy piła przerzynała kloc gruby, równy, ścisły a żywiczny, z którego budował się tak pięknie śpichlerz, dom, a nierzadko i kościół,

„Mądre drzewo“, mawiali wtedy, i dziś w gwarze ludu modrzew przymiotnik ten zachował. „Jako to ślicznie nasze mądre drzewo rośnie“, mawiał nasz leśniczy, gdy w zagajach modrzał cudnie, sinawo-zielony puch delikatnych igiełek. Przez lat wiele istniał już modrzew przeważnie tylko w tradycyi. Niekiedy sadzono go w parkach, z lasów znikł zda się na zawsze; ale powrotna fala przypomniała znów ludziom to cudne drzewo i dziś cieszy się dusza nasza, patrząc na rozległe gaje modrzewiowe w Miechowskiem, a i w innych stronach kraju coraz częściej modrzew znów spotykamy.

W ogrodnictwie ozdobnem nie sadzą go tylko jeszcze tak często, jak na to zasługuje, a przecież trudno wymarzyć piękniejsze, wdzięczniejsze drzewo. Czy to w grupie luźno rzuconej, czy pojedyńczo, czy z innemi drzewami zgrupowany, zawsze on piękny.

Najwcześniejszą wiosną, gdy jeszcze brzoza koronką delikatnego listowia się nie okryła, gdy olchy nie przybrały jeszcze połyskującej bronzem i fioletem mieniącej się barwy, a na bzach pąki ledwie nabrzmiewać poczynają, już modrzew się w krasę swoją odziewa. Puchy igiełek modrych aż do pnia gałązki gęsto okrywają, a nierzadko ukazuje się między niemi rubinowy kwiat, szyszka.

Drzewo to iglaste i nieiglaste, bo swoją szatę na zimę zrzuca; to też sadzić je trzeba najwcześniejszą wiosną, skoro tylko lody ruszą, a ziemia odtaje. W dobrej, żyznej ziemi posadzone, rośnie na podziw prędko, wkrótce prześcigając wzrostem swych iglastych i liściastych rówieśników. Cięcia silnego nie lubi, ale umiarkowane znosi i jeśli czubek jego przypadkiem się ułamie, wypuszcza nowy przewodnik, który rośnie tak szybko, iż wkrótce ułamania nie znać.

W nadto wilgotnych miejscach, w gruntach sapowatych, drzewo choruje. Pień i gałęzie okrywają się mchem, igiełki ciemnieją, a końce ich przybierają rdzawe zabarwienie, takich też miejsc unikać trzeba dla modrzewia.

Gatunków tego pięknego drzewa istnieje niewiele, lecz wszystkie, jakie są, zasługują na największe rozpowszechnienie.

W lasach trzeba go sadzić rzadziej, niż inne iglaste, gdyż w młodości rośnie o wiele prędzej, rozrasta się szeroko i lubi światło. W późniejszym wieku przerzedza się i nie zacieśnia dostatecznie gruntu, dlatego dobrze jest dać mu podszewkę z grabów, buków, leszczyny, któraby ziemię utrzymywała w cieniu i nie pozwalała jej nadto wysychać. Te oto tak niewielkie starania są jedynemi, jakiemi nasze piękne „mądre drzewo“ otoczyć trzeba“.

Wojna rosyjsko-japońska.

(Ze źródeł japońskich).

Tokio 26 sierpnia. (Biuro Reutera). Dwa rosyjskie kontrtorpedowce najechały na minę we środę wieczorem przy wjeździe do Portu Artura. Większy z nich niewiadomego nazwiska, który miał cztery kominy, zatonął. Niewiadomo, czy były także straty w ludziach.

Las Palmas (wyspy Kanaryjskie) 26 sierpnia. Biuro Reutera donosi: Rybacy opowiadają, że widzieli trzy rosyjskie krążowniki koło przylądka Jube, nabierające węgiel z nieznanego parowca.

Rzym 26 sierpnia. (Ajencya Stefaniego). Z Szangaju donoszą, że rosyjskie okręty wojenne rozpoczęły już pod kontrolą chińską swoje rozbrojenie.

Frankfurt 26 sierpnia. Do *Frankfurter Zeitung* donoszą z Tokio pod datą 24 b. m., że japońskie stowarzyszenie marynarskie postanowiło utworzyć flotę ochotniczą. Ma być zbudowanych 10 okrętów, każdy o pojemności 6.000 tonn, a koszta wyniosą 15 milionów jenów (około 38 milionów koron). Każda rodzina japońska ma się przyczynić datkiem $1^1/_2$ jena.

Ten sam dziennik donosi, że na południu morza japońskiego szalała w tych dniach straszna burza; w Fuzanie (na Korei) zburzyła 56 domów i zniszczyła 147 parowców. Kabel pomiędzy Czuzimą a Fuzanem przerwany. Także z Moji donoszą o gwałtownej burzy, której ofiarą padło wiele okrętów; 67 osób zginęło, a wielu jeszcze nie odnaleziono.

Londyn 26 sierpnia. Do deputacyi Izby handlowej londyńskiej rzekł premier lord Balfour, że rząd angielski zażądał od rządu rosyjskiego wyjaśnienia w sprawie zatrzymania statków angielskich przez „Smoleńsk“ na wodach południowo-afrykańskich. Rząd rosyjski odpowiedział, że dotychczas nowej instrukcyi, wydanej dla statków floty ochotniczej, nie można im było doręczyć. Na prośbę rządu rosyjskiego rząd angielski wysłał swoje dwa statki, które mają wyszukać „Smoleńsk“ i doręczyć mu instrukcyę, aby położyć raz koniec zatrzymywaniu statków angielskich.

Londyn 26 sierpnia. (Biuro Reutera). Wiadomości z Szangaju potwierdzają doniesienie, że Rosya zarządziła rozbrojenie „Askolda“ i „Grozowoja“.

Londyn 26 sierpnia. Okręt jednego z angielskich towarzystw żeglarskich „Azya“, płynący z Glasgowa do Kalkuty, zatrzymany był o 30 mil od przylądka Vincet przez rosyjski krążownik „Urał“. Oficer „Urała“ przez dwie godziny rewidował podróżnych i pakunki.

Szangaj 26 sierpnia. (Biuro Reutera). Japoński poseł w Pekinie energicznie zaprotestował u rządu chińskiego przeciw przedłużeniu terminu pobytu rosyjskich okrętów w Szangaju.

(Ze źródeł rosyjskich).

Petersburg 26 sierpnia. Car zamianował komendanta Portu Artura jenerała Stössla jenerałem adjutantem.

Petersburg 26 sierpnia (urzędownie). Admirał Aleksiejew telegrafował do cara pod datą wczorajszą: Jenerał Stössel doniósł z Portu Artura 19 b. m., że Japończycy dnia tego o godzinie pół do 4tej rano rozpoczęli szturm na wzgórze Ugławaja i z wyżyn Wilczej góry ostrzeliwali forty północne i wschodnie. Japończycy sypią szańce w kierunku Luissin i wzdłuż doliny Lunghe.

* * *

Wrzesień jest w Mandżuryi początkiem jesieni i zalicza się do najpiękniejszych miesięcy w roku; we dnie jest ciepło, nawet gorąco (temperatura dochodzi do 28° C.), noce zaś są chłodne, niekiedy bywają przymrozki (do —4° C.), opady niewielkie, dnie przeważnie słoneczne. Październik jest miesiącem suchym, znacznie chłodniejszym od września, a w listopadzie rozpoczynają się mrozy, dochodzące w dni pogodne do —20° C.; trwają one do kwietnia. Najzimniejszy jest styczeń, gdyż termometr wskazuje nieraz nawet—35°, a nad rzeką Sungari (dopływ Amura) notowano —47° C. Silnym mrozom towarzyszy zwykle cisza w powietrzu, co osłabia działanie tak niskich temperatur. Bliskość morza wpływa na złagodzenie klimatu i nawet we Władywostoku, gdzie morze zamarza, temperatura nie bywa tak niska, jak w miejscowościach Mandżuryi, leżących pod jednakową szerokością geograficzną.

Mały feljeton.

Śmiały pływak.

W niedzielę ubiegłą głośny szeroko pływak, Holbein, ponowił próbę przepłynięcia przez cieśninę Kaletańską. Dzień był ciepły i pogodny, temperatura wody wynosiła 16 stopni C. Śmiałemu pływakowi towarzyszył mały parostatek „La Scottia“, wysłany przez redakcyę dziennika *Daily Minor*, na którym zajęli miejsca przeważnie sprawozdawcy pism angielskich i francuskich.

O godzinie 4 m. 42 po południu, głośne okrzyki publiczności, licznie zebranej na wybrzeżu o 2 kilometry na południe od Dovru, zawiadomiły zgromadzonych na „La Scottia“ dziennikarzy, iż Holbein rzucił się do wody. Obok niego płynęła łódź, na której znajdowały się niezbędne środki wzmacniające i opatrunkowe. Pływak trzymał się wybornie i szybko posuwał się naprzód, robiąc 25 poruszeń na minutę.

O godz. 8 zapadł zmrok, zapalono wówczas na łodzi wielką lampę acetylenową, przy świetle której publiczność z parostatku podziwiać mogła niezmordowanego pływaka, posuwającego się wciąż naprzód wśród lekkich fal morskich jednakowym, systematycznym ruchem. Dwaj inni pływacy, Anglik Haggerty i Francuz Burgess, którzy jednocześnie z Holbeinem rzucili się wpław do morza, aby wypróbować swe siły w walce ze znakomitym pływakiem, dawno już wsiedli do łodzi. Dla Anglika woda była za zimna, Francuz zaś nie chciał swych sił wyczerpywać daremnie.

Tymczasem Holbein płynął wciąż z niezmienną wytrwałością i spokojem. Światła na wybrzeżu angielskiem dawno znikły, spodziewano się niedługo doczekać świtu, a z nim ujrzeć brzegi Francyi, gdy nagle, w kilka minut po godzinie 2-ej po północy, Holbein wydał jakiś krzyk zdławiony. Woda zakotłowała się. Natychmiast pośpieszono z pomocą odważnemu pływakowi i wyciągnięto go na łódkę.

Po pewnym czasie Holbein przyszedł zupełnie do siebie. Okazało się, że już na początku swej imprezy czuł się niezdrów. Ogromny zaś wysiłek fizyczny osłabił go tak dalece, że już nie był w stanie utrzymać się na wodzie.

Próba przepłynięcia cieśniny, ponawiana przez Holbeina już po raz piąty, zawiodła zatem raz jeszcze. Bądź co bądź przyznać należy, że Holbein złożył już oczywiście dowody niesłychanej siły i wytrwałości. Obecnie utrzymywał się na wodzie blisko przez dziesięć godzin i przepłynął w tym czasie 16 mil angielskich (25 klm.).

Na zapytanie, czy zakończy na tem swe próby, Holbein odparł:

— Ponowię je w czasie najbliższym i będę to czynił dopóty, dopóki nie dopnę swego.

KRONIKA.

Lwów 26 sierpnia.

Namiestnik hr. Andrzej Potocki wyjechał wczoraj po południu pociągiem pospiesznym do Krakowa. Dziś rano zaś wyjechał tam szef biura prezydyaalnego, radzca namiestnictwa, p. Wacław Zaleski.

W uzupełnieniu programu podróży p. Koerbera po Galicyi, notujemy, że 5 września zatrzyma się on w Chyrowie i zwiedzi tamtejsze gimnazyum O. O. Jezuitów, poczem przyjmowany będzie, wraz z namiestnikiem, jakimś posiłkiem, odpowiednim do pory dnia, w refektarzu klasztornym.

Wraz z prezydentem gabinetu przybędzie do Lwowa szef biura prezydyalnego w ministerstwie spraw wewnętrznych, p. Oktaw Bleyleben, oraz wicesekretarz ministeryalny w prezydyum Rady ministrów, dr. Adam Bieńkowski i towarzyszyć będą dr. Koerberowi w całej jego podróży.

Rada miejska u dra Koerbera. 31 bm. udadzą się członkowie Rady miejskiej gremialnie z prezydentem drem Małachowskim na czele na audyencyę do dra Koerbera. Na tem posłuchaniu ma Rada miasta wręczyć drowi Koerberowi memoryał, wyrażający postulaty Lwowa. Memoryał ten jeszcze nie jest zredagowanym. Nad treścią jego będzie obradować kilka sekcyi.

Z Rady miejskiej. Zapowiedziane na wczoraj posiedzenie Rady miejskiej, na którego porządku dziennym było sześćdziesiąt sześć spraw, nie przyszło do skutku z powodu braku ustawą wymaganego kompletu Rady.

Wczoraj wieczorem odbyło się posiedzenie przewodniczących i delegatów sekcyjnych, na którem uchwalono wysłać do Rady miasta Chicago telegram z okazyi mającej się tam odbyć uroczystości odsłonięcia pomnika Kościuszki. Uchwalono również, że Rada weźmie gremialnie udział w uroczystości otwarcia tutejszego miejskiego muzeum przemysłowego dnia 1 września. Na uroczystości tej ma być dr. Koerber.

Dary. Cesarz udzielił ze swej prywatnej szkatuły 400 K. na dokończenie budowy kościoła w Darachowie (w pow. trembowelskim), po 200 K. na dokończenie budowy cerkwi w Hoczwi (w pow. liskim) i w Kupiczwoli (w pow. żółkiewskim), oraz 200 K. na budowę kaplicy łacińskiej w Szpikłowie (w pow. złoczowskim).

Konkurs na trzy posady notaryuszy: w Kołomyi, w Szczercu i w Wojniłowie, rozpisuje lwowska Izba notaryalna. Podania do 30 września.

† **Pogrzeb hr. Zofii z Bobrów Dzieduszyckiej**, żony Juliusza, odbył się dziś przedpołudniem o godzinie 10. Zwłoki przeniesiono z domu przy ul. Mickiewicza l. 12 do kościoła Archikatedralnego, skąd po odprawieniu uroczystego nabożeństwa żałobnego, wyruszył kondukt na cmentarz Łyczakowski.

Pamięć zmarłej hr. Dzieduszyckiej uwiecznił w literaturze naszej Juliusz Słowacki, który kochał się w matce zmarłej Joannie z Morzkowskich Bobrowej-Piotrowickiej, chorążance podlaskiej i podstarościance żytomierskiej, i do albumu podówczas dziesięcioletniej jej córki Zofii, zamężnej potem za Juliuszem hr. Dzieduszyckim, napisał wiersz następujący:

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci;
Nim kwiat zakwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj, bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdki złociste, kwiateczki czerwone,
Będą ci całe poemata składać;
Jabym to samo powiedział co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać,
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem tak samo jak Zośka dzieciną.

Dzisiaj daleko odjechałem w gości,
I dalej los mię nieszczęśliwy goni...
Przywieź mi Zośko od tych gwiazd jasności,
Przywieź mi Zośko od tych kwiatów woni,
Bo mi naprawdę odmłodnieć potrzeba:
Wróćże mi z kraju taką jakby z nieba!

Zaś do męża zmarłej, hr. Juliusza Dzieduszyckiego, słynnego hodowcy koni arabskich, po które kilkakrotnie udawał się do Arabii i tam koczował wśród Beduinów, napisał Wincenty Pol długi wiersz, zaczynający się od słów:

„Panie Juliuszu, ty biały lwie Wschodu,
Wielki koniuszy wielkiego narodu“...

Śp. Zofia Dzieduszycka zapisała testamentem dobra złożone z klucza jarczowieckiego w powiecie zborowskim hr. Władysławowi Dzieduszyckiemu, synowi Wojciecha Dziedyszyckiego wiceprezesa Koła polskiego w parlamencie austryackim.

Śp. Zofia Bobrzanka wyszła za mąż w roku 1857. Mąż jej hr. Juliusz był wówczas jednym

najwiętniejszych młodych ludzi w całej Polsce, był za życia legendową wprost postacią: Odziedziczył był po ojcu Kajetanie, wraz z kluczem Zborowskim, stadninę sławną krwi wschodniej, której początek w zamierzchłe sięgał wieki. Koń wschodni w Polsce wychowany, słynął niegdyś po całym świecie, chów jego należał do tradycyjnych zajęć szlacheckich. Juliusz Dzieduszycki pragnąc utrzymać i starą narodową tradycyę i przysporzyć bogactwa krajowi, wybrał się do Egiptu i Nubii, do Syryi i Arabii za czasów, kiedy taka podróż była przedsięwzięciem i rzadkiem i trudnem, otoczonem jeszcze aureolą romantycznej poezyi, a po wielu, po części dziwnych przygodach przywiózł z powrotem do kraju cały poczet ogierów i, co było rzeczą o wiele trudniejszą, trzy klacze pełnej krwi do Jarczowiec a wyprowadzone z tych koni stado stało się jednem z najgłośniejszych i najlepszych na całym świecie. Trafiało się później, że kupcy przyjeżdżali aż z Ameryki umyślnie do Polski, aby kupować konie krwi Jarczowieckiej; chów koni podniósł się w kraju znakomicie, zasilając się u Jarczowieckiego źródła.

Hr. Juliusz Dzieduszycki odznaczył się zresztą nietylko hodowlą koni. Dwór Jarczowiecki był rodzajem ogniska życia szlacheckiego na Podolu i udział swój w powstaniu z r. 1846 odpokutował hr. Dzieduszycki dwuletniem więzieniem i ledwo uniknął wyroku śmierci. Do tego dodać należy, że był on człowiekiem wykształconym, ogromnie dowcipnym i miłym w obejściu, niedziwne też, że był ulubieńcem swego pokolenia.

Nie w porę okólnik. W ostatnim tygodniu lipca rozesłała dyrekcya skarbowa okólnik do władz powiatowych skarbowych domagający się od nich energiczniejszego ściągania podatków, z powodu, że rok bieżący nie przyniósł nam żadnych klęsk elementarnych. Gdyby napisanie tego okólnika powierzono ziemianinowi, toby on oczywiście już 24go lipca wiedział o tem, że grozi nam straszna posucha; ale że go pisał jakiś biurokrata zamknięty w czterech ścianach murów urzędowych, który w aktach swoich nie miał jeszcze żadnego dokumentu o posusze, a dla którego to tylko istnieje na świecie, co jest w aktach, więc nic dziwnego, że w roku tak strasznej klęski, jaka nas nawiedziła — klęski posuchy, klęski pożarów, mogła wyjść taka oto admonicya z dyrekcyi skarbowej do władz podatkowych powiatowych:

„Do wszystkich starostw i urzędów podatkowych Egzekucya podatków stałych w r. 1903 nie odniosła pożądanego rezultatu, wskutek czego zaległości podatkowe w tym roku znowu wzrosły.

„Tylko w części można to usprawiedliwić powodziami i innemi klęskami elementarnemi, które nawiedziły w roku zeszłym część kraju. Nie ulega zaś wątpliwości, że gdyby w powiatach względnie gminach, które nie były klęskami elementarnemi dotknięte, starostwa i urzędy podatkowe były pilnowały ściśle postępu akcyi egzekucyjnej i w tym celu stosowały się do rozporządzeń krajowej dyrekcyi skarbu, rezultat co do całego kraju byłby znacznie korzystniejszy.

„Aby uzyskać taki rezultat w roku bieżącym, przypomina krajowa dyrekcya skarbu przedewszystkiem, że zbliża się obecnie pora, w której kontrybuenci, uzyskawszy wiejscy, najłatwiej ze swego obowiązku opłacenia podatku wywiązać się mogą.

„Należyte wykorzystanie tej pory jest koniecznie, tembardziej że wpływy na podatki stałe w pierwszem półroczu b. r. są znacznie niższe, niż w pierwszem półroczu roku poprzedniego, wobec czego zachodzi obawa, aby zaległości nie wzmogły się jeszcze bardziej. Zapobiedz temu można tylko przez ścisłe stosowanie się do wydanych powyższych okólników, których niestety wiele starostw i urzędów podatkowych należycie sobie nie przyswoiło.

„Nadzieja zaś pomyślnego rezultatu w roku bieżącym może być tem pewniejszą, że w tym roku kraju nie nawiedziły znaczniejsze klęski elementarne, a zbiory w niektórych okolicach są nawet znacznie lepsze, niż przeciętne.

„Ujemny rezultat egzekucyi musianoby zatem zapisać jedynie na karb złego wykonywania tutejszych zarządzeń i odpowiednie z tego pociągnąć konsekwencye.

„Celem należytego wywiązania się z przekazanego sobie zadania mają starostwa z raportami za b. r. przedłożyć wnioski na przyjęcie nowych egzekutorów dla tych urzędów podatkowych, w których rzeczywiście potrzeba tego zachodzi".

Tyle słów owego okólnika, budzącego oczywiście złe humory w kraju i niepotrzebnie rozdrażniającego ludność. Nie znamy formułek biurokratycznych, więc nie wiemy, czy obyczaje biurokracyi pozwalają na to, żeby wydany raz okólnik został odwołany potem, ale w każdym razie dyrekcya skarbowa wydając drugi okólnik, zalecający ostrożność i względność w ściąganiu podatków, ze względu właśnie na tak ciężkie klęski i brzmienie tego okólnika ogłosić w dziennikach.

Kongres maryański. Litografia krakowska Salba nadesłała już pierwszy, kilkonastotysięczny transport kartek na okaz, mających zastąpić iluminacyę w dniu kongresu i w głównym dniu obchodu Niepokalanego Poczęcia 8go grudnia. Jak wiadomo jest to dokonana w ścisłe kolorach odbitka obrazu zaprojektowanego przez artystę, Kaspra Żelechowskiego, aprobowana przez JE. X. arcypasterza. Kartki te, w cenie 10 groszy za egzemplarz sprzedaje już komitet kongresowy, ul. Jagiellońska 1. 3. Z uzyskanego ze sprzedaży dochodu przeznacza komitet 10% do rozporządzenia Związku katolicko-społecznego w myśl rozpoczętej przezeń tak szczęśliwie akcyi na ofiary tegorocznej posuchy i głodu.

Defraudacya na poczcie. Pisma krakowskie donoszą, w jaki sposób wpadnięto na trop popełnianych tam przez starszego oficyała pocztowego, Jana Landfrieda, malwersacyj, o których pisaliśmy wczoraj:

„Oto urzędnicy, zajęci razem z p. Landfriedem w sortowni listów zauważyli, że wszystkie listy zagraniczne które on sobie brał, są dnia następnego i że nie ekspedyuje zaraz, lecz dopiero nazajutrz. Również „niezwykła pilność" owego urzędnika, który — chociaż do tego nieobowiązany — przychodził często już o godzinie 5-tej rano do biura, zastanawiała kolegów.

Powyższe uwagi zestawione razem, zrodziły u urzędników mimowolne podejrzenie, że starszy oficyał p. Landfried uprawia jakąś nieczystą manipulacyę.

Była to właśnie owa „nitka" prowadząca do kłębka.

Jeden z urzędników listowego oddziału pocztowego usłyszał pewnego razu we wychodku, w przedziale, od którego klucz posiadał wyłącznie starszy oficyał Landfried, systematyczne targanie papieru i ciągłe puszczanie prądu wody ze zbiornika, a zajrzawszy przez szparę w deskach do owego przedziału, zobaczył starszego oficyała Landfrieda, targającego listy. Spostrzeżenie swe zakomunikował on urzędnik przełożonemu oddziału listowego, który też natychmiast przedsięwziął wszelkie środki, prowadzące do wykrycia prawdy.

W klozecie znaleziono rzeczywiście szczątki listów z markami, przeważnie zagranicznymi.

Ażeby jednak mieć dowód bardziej niezbity, postarano się o założenie w przewodzie klozetowym siatki drucianej i dzięki tej siatce złowiono taką moc potarganych listów zagranicznych, iż waga ich wynosi przeszło pół cetnara!

Cała ta sprawa dostała się wreszcie do rąk władzy; skonstatowano, że listy otwierał starszy oficyał Landfried tylko takie, w których przypuszczalnie znajdowały się banknoty, przesyłane rodzinom przez Polaków, pracujących w Ameryce i z innych obcych krajów — i że manipulacyę tę prowadził ów oficyał od dłuższego czasu.

Uwiadomiona o tym wypadku lwowska dyrekcya poczt przysłała onegdaj swego komisarza p. Jakisza celem przeprowadzenia śledztwa. Starszego oficyała J. Landfrieda zasuspendowano, oraz przeprowadzono rewizyę w mieszkaniach czterech urzędników sortowni.

Podobna sprawa zdarzyła się już przed kilku laty, gdzie defraudantem listów był posługacz pocztowy.

Wiec dziecinny. Zanotowaliśmy już odezwę zwołującą Rusinów na wiec w dniu 31 b. m. do Lwowa. Bombastyczny ton tej odezwy, jej naiwne argumentacye i śmieszny cel wiecu wskazywały, że ta „Narodna rada", która pod ową odezwą była podpisana, musi się składać z samych dzieci i że to także będzie wiec dziecinny. Domysł ten okazał się prawdziwym. *Hałyczanin* zapewnia bowiem, że będzie to wiec pajdokratów, czyli dzieci. I pisze tak:

„W samej rzeczy, jeśli wspomniany wiec przyjdzie do skutku, to będzie on bezsprzecznie politycznym egzaminem, ale takim, który namacalnie wykaże nie tylko niedojrzałość polityczną zarówno zwołujących go, jak i jego uczestników, lecz także i ich bezgraniczną lekkomyślność. Jakie bowiem znaczenie może mieć wiec taki? Znaczenie pustej demonstracyi, od której prezydentowi ministrów nie będzie ni ciepło ni chłodno; gdyż on z pewnością nie pojawi się na wiecu i od „samych ludowych mas" wcale nie usłyszy ani skarg, ani domagań się. On może dowiedzieć się o potrzebach ludu od deputacyi, którą wiec, jak sądzimy, wysłałby do niego. Ale poco wobec tego ściągać do Lwowa setki, czy nawet tysiące ludu i narażać go na stratę czasu i pieniędzy, skoro ten sam cel osiągnęłaby deputacya, wybrana z grona istniejących już organizacyj politycznych? My nie przypuszczamy, aby zwołujący wiec byli tak tępego umysłu, aby nie mieli rozumieć tego; ale oni chcą zaszumieć, chcą puścić fajerwerk. A efekt takiego fajerwerku, z natury rzeczy, będzie do tego stopnia bez znaczenia, że uważamy wprost za niesumienność nadużywanie dla takiego celu zaufania narodu i poniżanie powagi znaczenia wiecu narodowego. Jesteśmy przekonani, że ludzie poważni, ludzie politycznie i narodowo dojrzali, do jakiegokolwiekby oni stronnictwa należeli, nie odpowiedzą na pajdokratyczny krzyk i nie zechcą uczestniczyć w egzaminie politycznej niedojrzałości".

W końcu *Hałyczanin* dodaje, że autorowie tej odezwy i redakcya *Diła* popełniły wielkie oszustwo (*obman*), ponieważ takiego stowarzyszenia politycznego, któreby się nazywało „Narodna rada", niema w Galicyi.

Bankructwo prawosławnego biskupstwa. Jak już pokrótce doniesiono onegdaj w telegramach, dozwolił sąd na zaprowadzenie sekwestracyi w dobrach rożnowskiego biskupstwa prawosławnego na Węgrzech z powodu olbrzymich długów. Mają one wynosić około 1,500.000 koron. Fundusz religijny zapłacił już raz za biskupa rożnowskiego długi w sumie kilkakroć sto tysięcy koron. Gdy jednakże mimo to nie nastąpiła faktyczna sanacya stosunków, został biskup Ivankovic zmuszonym do wniesienia podania o dymisyę, które też istotnie wniósł, lecz już w parę dni cofnął, podając jako powód, że nie może się zgodzić na zaofiarowaną mu odprawę z łaski. Władze więc musiały zaprowadzić sekwestracyę z urzędu. Ivankovic, zdaje się, zamknięty będzie do monastyru.

Kilka nowych magazynów kradzionych rzeczy udało się znowu wykryć policyi. Najbogatszym z nich jest magazyn Jakóba i Hindy Kapsów, w których zakwestyonowano cały worek sreber, złotej biżuteryi, rozmaitych drogich kamieni, pereł i dyamentów.

Odznaczenie Polaka. Jak donoszą *Münchner N. N.*, na dorocznej wystawie monachijskiej akademii sztuk pięknych otrzymał medal srebrny p. Franciszek Lipiec za obraz „W pracowni".

Chrzest następcy tronu rosyjskiego nietylko ma znaczenie religijne, takie, jak u każdego chrześcijańskiego dziecka, ale ponadto stanowi dla niego awans w randze dworskiej. Oto bowiem w pochodzie do cerkwi, w której ma się chrzest odbyć, idą za parą carską i zagranicznymi gośćmi książęcymi książęta rodziny carskiej w tym porządku, w jakim mają prawo do ewentualnego dziedziczenia tronu, a za nimi dopiero niesiony jest nowonadzony następca tronu. Zaś po dokonaniu ceremonii chrztu niosą go już nie za wielkimi książętami, lecz przed nimi, jako posiadającego rangę najwyższą tuż po carze.

Ostatnia powieść Bourgeta pod tytułem „Rozwód" narobiła we Francyi wiele wrzawy z powodu, że autor występuje w niej z obroną nierozerwalności małżeństwa.

Bohaterka powieści, Gabryela, wyszła po raz pierwszy za mąż za niejakiego de Chambaulta, gracza, rozpustnika i pijaka. Cierpi przy jego boku przez czas pewien, w końcu jednak poniewierana i przejęta wstrętem, opuszcza małżonka, żąda rozwodu i odzyskuje wolność. Z wolnością jednak przychodzi samotność i brak opieki. Na drodze Gabryeli staje wówczas przyjaciel młodości Darras i rozwódka oddaje mu rękę, bez błogosławieństwa kościelnego wszelako, Kościół bowiem nie uznaje takiego małżeństwa.

Gabryela w pierwszej chwili nic sobie z tego nie robi, zdaje się jej bowiem, że wyzbyła się zupełnie wiary pod wpływem męża, który jest postępowcem krańcowym, przeciwnikiem religii, aczkolwiek —wyjątek u Bourgeta— jednocześnie człowiekiem prawym i czułym.

Lata mijają. Darrasom urodziła się córka. Gabryela postanawia wychować ją w wierze katolickiej. Mąż nie sprzeciwia się temu. Przychodzi wreszcie chwila przystąpienia Julii — imię córki — do pierwszej Komunii. Matka przygotowywa ją sama do tego Sakramentu, i oto w czasie tych przygotowań rozżarza się w sercu matki iskra wiary, dotychczas tlejąca. Gabryela postanawia przystąpić razem z córką do Stołu Pańskiego. Niestety kapłan odmawia jej tej pociechy — spokojnie, ale stanowczo.

Jednocześnie syn Darrasowej z pierwszego małżeństwa, Lucyan, wychowany starannie, ale w duchu postępowym przez Darrasa, poznaje studentkę Bertę Planat, płonie ku niej miłością i postanawia, idąc o krok dalej od swojego ojczyma, żyć z nią nietylko bez ślubu kościelnego, ale nawet cywilnego. Sprzeciwia się temu Darras, który, pomimo całego swojego liberalizmu krańcowego, nie wyzbył się zachcianek burżuazyjnych i marzy o wybitnem stanowisku społecznem dla syna adoptowanego.

Następuje dramat, głęboki, bolesny dramat, z jednej strony pomiędzy żoną wierzącą a mężem wolnomyślnym, z drugiej zaś — pomiędzy ojczymem a synem adoptowanym.

Na takiem tle rozwija Bourget swoją tezę ze zwykłym sobie artyzmem i głęboką znajomością duszy ludzkiej.

Statystyka zgonów z powodu raka. Wedle statystyki, ogłoszonej przez F. Prinzinga na podstawie lekarskich świadectw zgonu od r. 1896 do 1900, pomiędzy krajami należącemi do Austryi, choroba raka najczęściej zdarza się w Salzburgu. Następnie idą w tej statystyce: Austrya dolna, Austrya górna, Tyrol i Przedarulania. Choroba raka wzmogła się we wszystkich krajach koronnych, z wyjątkiem Przedarulanii. W Styryi wypadki raka są rzadkiemi. Niemiecka ludność choruje częściej na raka, niżeli słowiańska.

Opodatkowanie kawalerów. W miasteczku Salem, w Stanie Wisconsin, odbyło się bardzo liczne posiedzenie przedstawicielek Towarzystw kobiecych w tym Stanie, zwołane dla powzięcia środków zaradczych przeciwko coraz częściej objawiającemu się wśród młodzieży amerykańskiej wstrętowi do małżeństw. Przebieg zebrania był tak burzliwy, że prezydentka musiała kilkakrotnie przerywać posiedzenie dla przywrócenia porządku. Mówczyniom przerywano co chwila, każda bowiem z obecnych chciała wygadać się do woli, a nie mogła doczekać się końca przemowy tej, którą do przemówienia powołano. Najbardziej podobał się projekt pewnej starej niewiasty, proponującej nałożenie podatku w wysokości 1000 dolarów rocznie na każdego mężczyznę, który nie ożeni się do 25 roku życia. Grzmiącymi oklaskami okazano uznanie projektodawczyni, zapał jednak ostygł odrazu, gdy pewna młoda osoba zauważyła, że nałożenie tak wielkiego podatku może skłonić wszystkich mężczyzn, jeszcze nie żonatych, do opuszczenia granic Stanu. W końcu, po długich rozprawach postanowiono rozpocząć w całych Stanach Zjednoczonych agitacyę przeciwko kawalerom i utworzyć w Nowym Jorku biuro główne do popierania tej sprawy.

Zmarli. W Krakowie Józefat Szczepański, emer. inspektor kolei północnej, przeżywszy lat 69.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 11, w poł. + 16. Bar. 767. Nieruchomy. Pochmurno.

W sądzie.

— Podsądny!.. Objaśnijcie, jak zdołaliście ten zamek kasowy otworzyć?

— Nie mogę!

— A to dlaczego?

— To tajemnica — zawodu.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś: „Wesoła dwójka," operetka Ziehrera. — W sobotę „Wenecya w Paryżu," operetka Offenbacha. — W niedzielę „Bandyci," operetka w 3 a. Offenbacha. — W poniedziałek „Figle wiosenne," operetka w 3 a. Reiterera, z motywów J. Straussa. — We wtorek „Posłaniec nr. 6666," operetka Ziehrera.

Teatr ludowy. (Ogród dawnego Colosseum, pasaż Hermanów). W sobotę wieczorem po raz 1szy „Zmykajmy," krotochwila w 3 a. z francuskiego. — W niedzielę wieczorem po raz drugi „Zmykajmy".

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 24 sierpnia.

(Z.) Znów kwestya naruszenia neutralności Chin przez Rosyę niepokoi giełdy i stała się powodem dotkliwego spadku kursu konsoli angielskich, co wpłynęło ujemnie także na tendencyę innych targów pieniężnych. Na tutejszej giełdzie panowała dziś ogólna stagnacya, do czego przyczyniała się w znacznej mierze ta okoliczność, iż spekulacya zaczyna już myśleć o likwidacyi rachunków na ultimo.

Z Berlina donoszą, że do udziału w walnem zgromadzeniu akcyonaryuszy kopalń węgla „Hibernia", które odbyć się ma 27 b. m. i na którem ma zapaść uchwała co do przyjęcia lub odrzucenia oferty rządu pruskiego, dotyczącej upaństwowienia tych kopalń — zgłoszono więcej niż dwie trzecie wszystkich akcyi. Wobec tego decyzya musi zapaść tak albo owak, a nie ma mowy o tem, aby sprawę zabagniono dla braku kompletu.

Wedle sprawozdania ministerstwa kolei żelaznych była z końcem lipca b. r. w toku w całej Austryi budowa 876 kilometrów nowych kolei. Sprawozdanie to konstatuje nadto ogromny postęp robót około budowy drugiej linii kolejowej do Tryestu, z czterech bowiem wielkich tuneli, przez które przechodzić będzie ta kolej, jeden t. j. tunel przez góry Wochein, długości 6.334 metrów jest już całkiem przebity, tunel przez Karawanki będzie przebity za kilka tygodni, a do tej pory przebito już 6.613 metrów, tunel przez góry Tauern przebito na długości 1.970, a przez góry Bosruk na długości 2.895 metrów.

Z Berna szwajcarskiego donoszą, że inżynier Radcliff Ward wypracował projekt budowy kolei elektrycznej przez Alpy, mającej połączyć Turyn z Szwajcaryą, a mianowicie z miejscowością Martigny w Kantonie Wallis. Zawiązało się już konsorcyum finansowe dla urzeczywistnienia tego projektu. Kolej ta będzie miała długość 157 kilometrów. Będzie ona miała tę wyższość nad liniami Gottharda, Mont Cenis i Simplonu, że skróci znacznie drogę z północnych Włoch do krajów środkowo-europejskich. I tak n. p. droga z Turynu do Lozanny wynosi przez linię Simplonu 365 kilometrów a przez linię Mont Cenis 367 kilometrów a ta nowa linia przez Martigny wynosić będzie tylko 224 kilometrów.

W Ameryce zbliża się do urzeczywistnienia gigantyczny projekt budowy kolei panamerykańskiej, mający przeciąć Amerykę z północy na południe. W Stanach Zjednoczonych zawiązało się już konsorcyum z kapitałem 250 milionów dolarów i ogłasza prospekt, zawierający przybliżony opis tej projektowanej nowej linii kolejowej, która będzie miała 10 tysięcy mil angielskich długości. Północnym punktem jej wyjścia będzie Port Nelson w zatoce Hudzońskiej, koło Winnipeg przetnie ona kanadyjską kolej Oceanu Spokojnego, pójdzie w dalszym ciągu przez terytorya Nebraski i Indiany do Galvestonu, w dalszym ciągu przez Meksyk i centralną Amerykę do Panamy, potem przez Kolumbię, Ekwador, Peru i Argentynę do Buenos-Ayres, gdzie będzie jej południowy punkt krańcowy. Nadto osobne odgałęzienie prowadzić będzie do San Jago i Valparaiso w Chili.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Ratyzbona 26 sierpnia. Wczoraj zakończył się wiec niemieckich katolików. Nuncyusz papieski oświadczył, że sprawozdanie z wiecu przedłoży Papieżowi, poczem udzielił zgromadzonym błogosławieństwa. Wiec zakończył się okrzykiem na cześć Papieża i odśpiewaniem „Te Deum".

Ajaccio 26 sierpnia. Ogromny pożar sroży się od wczoraj na obszarze 20 kilom. kwadr. na wschodniem wybrzeżu Korsyki. Dotychczas spłonęło przeszło 1.000 ha lasu. Dworzec kolejowy w Bravonne zgorzał; drugi dworzec jest zagrożony. Komunikacya kolejowa przerwana. Wiele bydła zginęło. Ludność przy pomocy wojska pracuje nad zlokalizowaniem pożaru.

Londyn 26 sierpnia. Do tutejszych dzienników donoszą z Nowego Yorku, że 30.000 robotników budowlanych uchwaliło rozpocząć strejk. Z powodu strejku nie można ukończyć budowy 65 szkół, wskutek czego około 100.000 dzieci nie może uczęszczać do szkoły.

Wczoraj rozpoczęli strejk robotnicy dwóch wielkich fabryk stali.

(Depesze popołudniowe).

Tryest 26 sierpnia. Wczoraj panował tu przez cały dzień, a szczególnie wieczorem, silny bora, przyczem temperatura spadła do 13° C. Od środy pada bez przerwy deszcz.

Wojna.

Petersburg 26 sierpnia. Komendant krążownika „Nowik" nadesłał następujące sprawozdanie: Po ustaniu walki w dniu 10 sierpnia, w której „Nowik" odniósł trzykrotne uszkodzenie pod linią wodną i razem z „Askoldem" przełamał szeregi okrętów nieprzyjacielskich, straciłem „Askolda" z oczu z powodu gęstej mgły. Dnia 11 sierpnia udałem się do Kiaoczau, aby nabrać węgla. Dnia 12-go opuściłem niemiecki port z zamiarem okrążenia wybrzeży Japonii i dostania się do Władywostoku. Dnia 20 sierpnia przybyłem do Korsakowska, gdzie nabrałem węgla. Tego dnia o godz. 4 popołudniu zauważyłem zbliżający się okręt nieprzyjacielski typu „Nytaka". Wypłynąłem na pełne morze i o kwadrans na 6-tą wdałem się z nim w walkę, w której „Nowik" po 45 minutach odniósł trzy uszkodzenia pod linią wodną, a dwa nad linią, przyczem woda wtargnęła do przedniej części okrętu.

Krążownik nieprzyjacielski, który również został uszkodzony, zaniechał dalszej walki i sygnalizował to. Ponieważ z końcem walki miałem tylko 6 kotłów do użytku i ster był uszkodzony, przeto byłem zmuszony wrócić do Korsakowska celem stwierdzenia uszkodzeń i miałem zamiar wyjechać w nocy na morze. Ponieważ jednak naprawa uszkodzeń „Nowika" była niemożliwą, a kilka okrętów nieprzyjacielskich ukazało się w pobliżu, co można było poznać po światłach kilku reflektorów elektrycznych, przeto postanowiłem „Nowika" zatopić. Oficerowie i załoga wysiadła na ląd, gdzie wyniesiono także wszelkie sprzęty.

Dnia 21 bm. japoński krążownik typu „Suma" ostrzeliwał część „Nowika", która utrzymała się jeszcze nad wodą. W walce 10 sierpnia poniósł „Nowik" następujące straty: 2 żołnierze zabici, lekarz okrętowy lekko ranny; dnia 20 sierpnia: 2 żołnierze zabici, porucznik i 14 żołnierzy lekko, dwóch ciężko rannych.

Petersburg 26 sierpnia. Kontradmirał ks. Uchtomski nadesłał jeszcze jedno obszerne sprawozdanie o bitwie morskiej pod Portem Artura w dniu 10 sierpnia. Podług sprawozdania Uchtomskiego, który — jak donosi — po śmierci Withoefta objął komendę, straty rosyjskie w tej bitwie były następujące: Porucznik Saltanow i chorąży Liwron polegli. Kapitan Boysman został ciężko ranny, mimo to jednak jeszcze przez kilka godzin, aż do Portu Artura, pozostał na swem stanowisku na mostku komendanta. Porucznik Rykow ciężko ranny, 21 oficerów lekko rannych, 38 marynarzy zabitych, 286 ranionych, między tymi 50 ciężko.

Naprawy okrętów będzie można dokonać własnymi środkami. Japońska flota składała się z 4 okrętów wojennych I klasy, 1—II klasy, 4 krążowników opancerzonych, 4 lekko opancerzonych, 5 lekkich krążowników i 60 torpedowców. Do Portu Artura wróciły nad ranem: Retwizan, Sebastopol, Pereswiet, Pobieda, Połtawa, krążownik „Pallada" i 3 torpedowce.

Londyn 26 sierpnia. Do *Daily Telegraph*, donoszą z autentycznego źródła z Czifu 25 bm. o sytuacyi w Porcie Artura: Na wschodzie znajdują się wszystkie miejscowości między Takuszanem a górą Wilczą w rękach Japończyków. Na wschodniej stronie obsadzili Japończycy fort Iczan, nie mogą jednak dalej się posunąć z powodu min.

Tak samo zatoka Gołębia jest w ich posiadaniu. Na północy stoją Japończycy w Talienczeng. Przednie straże japońskie kilka razy starały się zbliżyć do fortów wewnętrznych, zostały jednak odparte. Japończycy powysyłali szpiegów, którzy przecinają druty, łączące miny.

Do *Daily Telegraph* donoszą z Liaojanu pod datą wczorajszą: 75 kilometrów na południowy wschód od Liaojanu zaczęła się gwałtowna bitwa. Oczekują ogólnego ataku Japończyków.

Wiedeń 26 sierpnia. Pszenica 11·40—11·70, żyto 8·30—8·45, kukurudza 7·80—8·00, owies 7·40—7·50. Pochmurno.

Budapeszt 26 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na październik 10·69—10·70, na kwiecień 10·89—10·90, żyto na październik 8·22—8·24, na kwiecień 8·51—8·53; owies na październik 7·21—7·22, na kwiecień 7·47—7·49; kukurudza na sierpień 0·00—0·00, na wrzesień 7·41—7·43, na maj 7·41—7·42. Rzepak na sierpień 11·60—11·70. — Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna: słaba. — Usposobienie: słabe. — Pogoda: chłodno.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 26 sierpnia.

Marki 117.20, renta majowa 99.25, węgierska renta koronowa 97·10, akcye: austr. zakł. kredyt. 641·25, węg. zakł. kred. 755·00, anglobanku 279.50, unionbanku 520.00, bankvereinu 528·00, länderbanku 427·25, kolei państw. 632·25, lombardy 89·50, akcye kolei Elbethal 421.00, fabryki broni 000·00, tytoniowe 000·00, alpiny 441.75, Rima Muranyi 499.00, prag. Tow. żel. 2294·00, losy tureckie 128·50, ruble 253·50. Usposobienie: silne.

Lwów 26 sierpnia. (Z izby handlowej).
Obliczenia w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 578.— do 588.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 585·00 do 545.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 850 do 870·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00, 4 i pół proc. los w 50 lat 101.50 do 102·20, 4 proc. los w 60 lat 98.80 do 99·50 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.50 do 102.20. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·20 do 99.90 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99.60 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·60 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 99·80 do 100·00.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc, 99.70—100·40 Bukowińskiego fund. prop. 5 proc. 102.80 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 102.80 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.80 do 99.50. Pożyczki kraj. z roku 1878 4½ proc. —.— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 99.80—100.00 miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 97.00 do 97.70, 4½% po 200 koron 100.50 do 101.20.

Monety. Dukat cesarski 11.26—11.40. Napoleondor 19.00 do 19.25. Sto rubli papierowych 253.00—254.50 Sto marek 117.10 do 117·60.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 20 lipca 1904 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.05, 8.55, 5.40, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.20.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2.30**, 7.40, 5.80 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.20, 5.05, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.25* (na dw. gł.) 8.04* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 8.10, 5.50, 9·10*.
Z Kołomyi i Stanisławowa: 8.10, 11.25.
Ze Stryja: 7.45, 10.02, 1.10, 4.85, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 5.08, 7.80.
Z Jaworowa: 8.20, 4.45.
Z Sambora: 8·00, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **3.25**, **2.55**, 4.10*, 8.85, 6.20*, 10.55
Do Rzeszowa: 5.80.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.55**, 6.80, 9*—11.—*; z Podzamcza: **2.09**, 6.43, 9.21*, 11.24
Do Tarnopola: 10.55 z dw. głównego, 10.52 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.45**, 6.20, 10.45, 10.42*.
Do Stryja: 6.45, 9.10, 3.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 10.50, 7.05*, 11.10* (każdej niedzieli).
Do Jaworowa: 6.50, 5.48.
Do Sambora: 9·25, 8·40.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.55.
Do Przemyśla, Chyrowa, Zagórza: 10.05*.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic: 6.42, 7.80, 11.45, 1.47, 8.15, 4.80, 5.08, 7.54*, 9.12* (od 8/5 do 11/9 włącznie).
Z Janowa: 8.20, 1.16, 4.45, 9.25* (od 1/5 do 30/9 włącznie) 10.10* (od 15/5 do 31/8 w niedziele i święta).
Ze Szczerca: 9.35* (od 1/6 do 11/9 w niedziele i święta).
Z Lubienia W.: 11.35* (od 15/5 do 11/9 w niedz. i święta).

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: 5.48*, 9.30, 10.50, 12.32, 2.05, 3.35, 5.05; 7.05*, 8.04*, 11.10*.
Do Janowa: 6.50, 9.15, 1.35 (od 15/5 do 31/8 w niedzielę i święta), 3.18, 5.48.
Do Szczerca: 1.45 (od 1/6 do 11/9 w niedzielę i święta).
Do Lubienia W.: 2.15 (od 15/5 do 11/9 w niedz. i święta).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

16)

MĘŻOWIE WALENTYNY.

Powieść z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

— Prawda — odpowiedziała Arabella — a po chwili namysłu dodała: może niesłusznie obawiam się tej kolacyi, bo mężczyźni często zbierają się w restauracyach jedynie dla rozkoszowania się wytwornemi potrawami i doskonałemi winami. Nietylko umieją zdradzać i sprzeniewierzać się żonom, ale są także smakosze i łakomi.

— A to dopiero osobliwsze dla nas usprawiedliwienie — rzekł Albert; — a znam przecież śliczne młodne kobietki, przepadające za wykwintnem jedzeniem.

— Nie przeczę — odpowiedziała Arabella. — Doprawdy nie wiem, jak on to potrafi, że zawsze sprzeczka kończy się śmiechem... A jednak tak byłam rozgniewana.

— Oh! — odpowiedział — gniew twój to istne musowanie szampana, wznosi się, wznosi i nagle opada.

W rzeczywistości, Arabella nie miała powodu do gniewu, ani obawy, gdyż wieczerza, jaką Feliks wydawał dla swoich przyjaciół w Café Anglais, była istotnie, jak to mówił, najprzyzwoitszą, bez współudziału kobiet, bynajmniej nie zagrażająca cnocie przykładnych mężów. Chciał tylko wydać kilkaset franków w modnym zakładzie, aby zająć pewne stanowisko w tym bezmyślnym i pretensyonalnym świecie, w którym zbyt wiele się wydaje, trzyma się konie wyścigowe, jada wykwintnie, grywa grubo w karty i nader zbytkownem wogóle utrzymaniem doprowadza się najczęściej do ruiny.

Przyszła mu jednak szczęśliwa myśl, aby niedorzeczność tę ozłocić obecnością kilku dowoipnych biesiadników, mających dodać jej blasku. I dlatego prócz Alberta i Leopolda, zaprosił pewnego dziennikarza, który mógł nazajutrz zamieścić kilka wierszy reklamy o świetnej wieczerzy, wydanej w Café Anglais przez pana Feliksa d'Ervan, jednego ze świetnych członków highlife'u.

Do zaproszonych zaliczał się także ów autor dramatyczny, nie przysyłający mu bezpłatnych biletów od dnia, gdy wszedłszy do salonu jego matki niemeldowany, usłyszał, iż ostatnia jego sztuka jest bez wartości, i dlatego upadła sromotnie. Dla ułagodzenia Feliks obsypywał go grzecznościami, zapraszał na śniadania i obiady, aż nareszcie odzyskał jego łaski, a z niemi bilety, dające wstęp na pierwsze przedstawienia.

Około północy Leopold i Albert weszli do salonu w Café Anglais, gdzie oczekiwał biesiadników stół świetnie i wykwintnie zastawiony.

— A witajcie mi! — rzekł Feliks, podbiegając ku nim; — pozwólcie mi przedstawić was moim przyjaciołom. I zwracając się do zgromadzonych, rzekł:

— Pan Leopold de Jonceray, którego nazwisko znane jest i wysoko cenione w najświetniejszych naszych salonach. Pan Albert Varneuil, znakomity profesor historyi...

— A który, patrząc na tę wspaniałą zastawę, przypomina sobie uczty Lukullusa. Mam jednak nadzieję, że wystawna ta i wesoła wieczerza nie zakończy się, jak uczta Baltazara, bo dobrze rozglądam się po ścianach i nie dostrzegam na żadnej strasznych owych słów: *Mane, tekel, fares.*

— Kto wie — odrzekł autor dramatyczny — wystąpią może przy końcu wieczerzy.

— Zaraz znać autora dramatycznego, wyszukującego efektowne, tragiczne zakończenia — rzekł wesoło Feliks.

XIV.
Posąg Komandora.

— Ah! zapomniałem — rzekł Feliks, zwracając się do Alberta i Leopolda — przedstawić wam pana Alfreda Dornier, znanego autora nader sensacyjnych dramatów, który na śniadanie ma zabójstwo, na obiad pożar, a lokal swój opłaca otruciem. Panie de Jonceray — dodał, zwracając się do Leopolda — tak żywą jesteś obdarzony wyobraźnią i z takim zapałem zajmujesz się literaturą, iż pewny jestem, że prędko bardzo zbliżycie się z panem Melville, jednym z najznakomitszych naszych dziennikarzy.

I przedstawił mu młodego człowieka, którego twarz wyrażała dowcip z pewnym odcieniem szyderstwa.

— Równie pożądany dla wydawcy dziennika, jak w przyjacielskim gronie, bo jest nietylko dobrym pisarzem, ale i dobrym współbiesiadnikiem — dodał autor dramatyczny.

— Bardzo pragnę udowodnić prawo do tej ostatniej pochwały — odrzekł dziennikarz. — Wracam właśnie z „Komedyi francuskiej“, gdzie wznowiono „Don Juana“ czyli „Uczta kamiennego gościa“ i ten wyraz uczta bardzo zaostrzył mi apetyt. Zdaje mi się, że nie brakuje już nikogo z zaproszonych.

— Owszem — odpowiedział Feliks — brakuje jeszcze dwóch, gdyż jest nas tylko ośmiu. Oczekuję jeszcze dwóch, zaproszonych: najpierw młodzieńca bardzo będącego dziś w modzie, którego zdaje mi się znacie.

— Któż to taki?

— Młody wicehrabia de Fleurval — odrzekł Feliks — ale może nas zawiedzie, bo jest cierpiący ze zmęczenia; ten kochany wicehrabia cierpi ból krzyża, tak go trudzi codzienne bywanie w lasku.

— Jeśli mieszka gdzie przy końcu przedmieścia Saint-Germain — rzekł Albert — to nic dziwnego, że go męczą tak odległe codzień spacery piechotą.

— Cóż znowu! albo to moi przyjaciele chodzą piechotą do lasku! — odpowiedział Feliks. Wicehrabia jeździ tam swoim faetonem, a raczej spiderem, gdyż ostatnia nazwa jest w lepszym tonie.

— Dlatego, że cudzoziemska, angielska — odpowiedział, śmiejąc się Leopold — a Francuzi zapominają o świętej miłości ojczyzny, gdy tylko chodzi o modę.

— Ależ spider znaczy pająk, nie pojmuję więc, co za związek może mieć pająk z powozem? — rzekł ktoś z obecnych.

— To, że powóz ten sunie się tak prędko, jak pająk — odpowiedział Leopold.

— Co do mnie, nie rozumiem dlaczego wicehrabia tak jest zmęczony, iż aż dokucza mu ból krzyża, skoro jak najspokojniej jeździ sobie w faetonie?

— Jakto nie pojmujesz, iż jeśli ktoś zniewolony jest powozić codziennie przez dwie lub trzy godziny...

— Więc nie ma stangreta?

— Cóż znowu! ale ten siedzi sobie z założonemi rękami na miękkiem siedzeniu, a pan powozi. Jest to nader efektowne.

— Sądzę, że wygodniej i rozsądniej byłoby kazać powozić stangretowi — odpowiedział Albert.

— Ale to nie jest w dobrym tonie! — zawołali chórem Feliks i sportsman,

A nadto — rzekł dziennikarz, przybierając nader poważną minę — wicehrabia zawarł odpowiednią umowę ze stangretem, gdy tenże przyszedł do zgody.

— Czy pan umie powozić? — spytał stangret.

— Doskonale i zawsze sam powożę.

— No, to dobrze... gdyż gdyby pan nie umiał... I codziennie zawiezie mnie pan do lasku?

— Codziennie.

— Kiedy tak, to zgoda — odpowiada pan moim wymaganiom, przystaję na służbę u niego w tych warunkach.

— Oh! ci dziennikarze! — zawołał Feliks — ze wszystkiego żartują.

Leopold rozśmiał się swoim dawnym, wesołym śmiechem, co mu się nader rzadko zdarzało, a jakby dla uzupełnienia dobrego jego usposobienia, w tejże chwili wszedł ów wicehrabia, tak dobrze obwożący swego stangreta.

Był niskiego wzrostu, ubrany według ostatniej mody, zdawał się mówić: patrzcie na mnie! Skutkiem poprzedzającej go rozmowy, przybycie jego wywarło pewne wrażenie. Dziennikarz obrał go sobie za cel dowcipnych żartów, bawiąc się nim jakby tekturową figurką, której sznurki pociągał dowolnie. Rozweseliło to Leopolda, który zapominał o czarnych prześladujących go myślach.

Odgłos zegara wydzwaniającego północ przerwał ożywioną rozmowę.

— Północ! — zawołał dziennikarz, którego żołądek coraz silniej domagał się wieczerzy. — Czy słyszałeś bicie zegaru, Feliksie? Północ!... Dla zabobonnych, to godzina duchów — dla nas, godzina wieczerzy i pulardy z truflami. Proponuję, abyśmy siadali do stołu.

— Zgoda! — jednogłośnie zawołano chórem.

— Czekam ostatniego biesiadnika — rzekł Feliks z obowiązku grzeczności — ale z drugiej strony pragnąłbym spełnić ogólne życzenie.

— Któż jest ten opóźniający się współbiesiadnik? — spytano.

— Żyd wieczny tułacz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.